

ROZPRAWA TRZECIA: Co znaczą ideały ascetyczne?

Beztroskich, drwiących, gwałtowników – takimi chce n a s mieć
mądrość. Jest niewiastą, kocha zawsze tylko wojownika.

T a k o r z e c z e Z a r a t u s t r a.

I.

Co znaczą ideały ascetyczne? – U artystów nic, lub zbyt wiele
rzeczy; u filozofów i uczonych coś jakby wietrzeń i instynkt co do
najbardziej sprzyjających warunków wysokiej duchowości; u kobiet,
w najlepszym razie, jeden powab uwodny w i ę c e j, pewną
morbidezza pięknego ciała, anielskość radnego tłustego zwierza;
u fizjologicznie upośledzonych i rozstrojonych (u w i ę k s z o ś c
i śmiertelnych) usiłowanie, by wydawać się »zbyt dobrymi« dla tego
świata, są świętą formą wybujałości, głównym środkiem w walce
z długim cierpieniem i nudą; u kapłanów są one właściwą wiarą
kapłańską, najlepszym narzędziem mocy, także »najwyższem«
zezwoleń na moc; u świętych wreszcie pozorem do snu zimowego,
ich *novissima gloriae cupido*, ich spokojem w nicości (»Bogu«),
formą ich obłądzenia. Że jednak wogóle ideał ascetyczny tak wiele
znaczył dla człowieka, w tem wyraża się zasadniczy fakt człowieczej
woli, jej *horror vacui*: p o t r z e b u j e o n c e l u, – i woli raczej
jeszcze chcieć n i c o ś c i, niż n i e c h c i e ć. – Czy mnie

rozumiecie?... Czyście mnie zrozumieli?.. »B y n a j m n i e j! m ó j p a n i e!« - Zaczniemy więc od początku.

2.

Co znaczą ideały ascetyczne? - Lub, by poszczególny wziąć przypadek, co do którego dość często pytano mnie o radę, co znaczy naprzykład, Jeśli taki artysta, jak Ryszard Wagner, na swoje stare lata hołd składa czystości? Oczywiście w pewnym sensie czynił to zawsze; lecz dopiero na samym końcu w sensie ascetycznym. Co znaczy to nawrócenie się, ta zmiana radykalna skłonności? - bo taką była ona, Wagner rzucił się wtedy w kierunek wprost sobie przeciwny. Co znaczy, jeśli artysta rzuca się w kierunek wprost przeciwny?... Tutaj przypomina się nam, oczywiście, jeśli chcemy zatrzymać się nieco przy tem zagadnieniu, przypomina, się nam wnet najlepszy, najmocniejszy, najradośniejszy, n a j o d w a ż n i e j s z y może czas, jaki był w życiu Wagnera: było to wówczas, gdy go wewnątrz i głęboko przejmował pomysł wesela Lutra. Kto wie, jakie to właściwie zrządziły przypadki, że dziś zamiast tej muzyki weselnej posiadamy Majstersingerów? I wiele w nich jeszcze może tamtej podzwania? Lecz nie ulega zgoła wątpliwości, że i w tem »Weselu Lutra« chodziłoby tylko o pochwałę czystości. Lecz w każdym razie też o pochwałę zmysłowości: - i właśnie tak wydałoby mi się wszystko w porządku, takby właśnie było też »po wagnerowsku«. Bo między czystością a zmysłowością nie koniecznie musi istnieć przeciwieństwo; każde dobre małżeństwo, każde prawdziwe kochanie serdeczne stoi ponad tem przeciwieństwem. Wagner, zda mi się, byłby dobrze zrobił, gdyby był tę p r z y j e m n ą faktyczność z pomocą wdzięcznej i dzielnej komedyi Lutrowej wpoił nanowo w swych Niemców, bo jest i było między Niemcami zawsze wielu oszczerców zmysłowości; i może zasługa Lutra nie jest w niczem tak wielka, jak właśnie w tem, że miał odwagę do swej z m y s ł o w o ś c i i (- nazywano ją wówczas, dość delikatnie, »ewangeliczną

wolnością«...). Lecz nawet w wypadku, gdzie istnieje naprawdę przeciwieństwo między czystością a zmysłowością, nie musi to być na szczęście wcale jeszcze przeciwieństwo tragiczne. Stosuje się to przynajmniej do wszystkich bardziej udanych, bardziej ochoczych śmiertelników, którzy dalecy są, by swą zawodną równowagę między »zwierzęciem i aniołem« uważać zaraz za argument przeciw istnieniu, - najwykwintniejsi, najjaśniejsi, jak Goethe, jak Hafis, widzieli w tem nawet jeden powab życia w i e c e j... Takie »sprzeczności« właśnie są pokusą istnienia... Z drugiej strony rozumie się aż zbyt dobrze, że jeśli unieszczęśliwione świnie doprowadzone zostały do uwielbienia czystości - a są takie świnie! - to widzą i uwielbiają w niej tylko przeciwieństwo, przeciwieństwo unieszczęśliwionej świni (z jakimż tragicznym rehtaniem i żarliwością! można sobie wyobrazić), owo bolesne i zbyteczne przeciwieństwo, do którego Ryszard Wagner chciał bezsprzecznie na końcu swego życia jeszcze muzykę ułożyć i wprowadzić na scenę. P o c ó ż j e d n a k? jak słusznie zapytać wolno. Bo cóż go obchodziły, bo cóż nas obchodzą świnie? -

3.

Nie można przytem oczywiście pominąć owego drugiego pytania, co go właściwie obchodziło to męskie (ach, tak niemęskie) »niewiniątko wiejskie«, ów nieborak i prostaczek Parsyfal, którego tak podchwytliwymi środkami zrobi! ostatecznie katolikiem - jak to? byłże ten Parsyfal p o w a ż n i e pomyślany? Czułoby się bowiem pokusę przypuszczać, nawet życzyć sobie czegoś odwrotnego, - że wagnerowski Parsyfal pomyślany został pogodnie, niby finał i dramat satyryczny, którym tragik Wagner, w jemu właśnie przystojny i jego godny sposób, chciał pożegnać się z nami, także z sobą, przede wszystkim z t r a g e d y ą, a to wybrykiem najwyższej i najzuchwalszej parodyi samej tragiczności, parodyi całej przerażającej powagi ziemi i jęku ziemi z onegdaj, przezwyciężonej

nareszcie n a j g r u b s z e j f o r m y sprzeczności ideału ascetycznego z naturą. To właśnie, jak się rzekło, byłoby godne wielkiego tragika, który, jak każdy artysta, wtedy dopiero osiąga ostatecznego szczytu swej wielkości, gdy umie siebie i sztukę swoją widzieć p o d sobą, - gdy umie ś m i a ć s i ę z siebie. Jestże »Parsyfal« Wagnera jego tajemnym śmiechem wyższości z samego siebie, tryumfem jego zdobytej, ostatecznej, najwyższej wolności artystycznej, zaświatowości artystycznej? Chciałoby się, jak rzekłem, życzyć tego; bo czemużby był p o w a ż n i e p o m y ś l a n y Parsyfal? Czyż rzeczywiście trzeba widzieć w nim (jak wyrażono się przede mną) wyrodka oszalałej nienawiści poznania ducha i zmysłowości? Przekleństwo na zmysły i ducha, rzucone jednym tchem nienawiści? Odstępstwo i nawrót ku chrześcijańsko chorobliwym i szerzącym ciemnotę ideałom? I wreszcie zaprzeczenie i przekreślenie samego siebie przez artystę, który dotąd całą mocą swej woli parł do czegoś odwrotnego, to jest do n a j w y ż s z e g o u d u c h o w i e n i a i u z m y s ł o w i e n i a swej sztuki? A nie tylko swej sztuki, także swego życia. Przypomnijmy sobie, z jakim zapałem szedł Wagner owego czasu śladami filozofa Feuerbacha: wyrażenie Feuerbacha o »zdrowej zmysłowości« brzmiało w trzydziestych i czterdziestych latach Wagnerowi, jak i innym Niemcom (- nazywali siebie »m ł o d y m i Niemcami«), niby głos zbawienia. Czyż ostatecznie przyjął i n n ą o t e m n a u k ę? Bo, co najmniej zdaje się, że wkońcu miał wolę po temu, by o t e m i n a c z e j p o u c z a ć. - I nie tylko z pomocą parsyfalowych trąb ze sceny: - w mętnej, równie nieswobodnej jak bezradnej, pisaninie jego ostatnich lat znajduje się sto ustępów, gdzie zdradza się tajemne życzenie i wola, ociągliwa, niepewna, niewyznana wola głoszenia odwrotu, nawrócenia, zaprzeczenia chrześcijaństwa, średniowiecza i powiedzenia swym uczniom »to nic nie jest! szukajcie zbawienia gdzieindziej!« nawet wzywa raz »krwi Zbawiciela«...

4.

Wypowiadając w takim wypadku, który ma w sobie wiele bolesnego, swoje mniemanie – a jest to wypadek t y p o w y -: sędzę, że będzie z pewnością najlepiej oddzielić twórcę o tyle od jego dzieła, by jego samego nie brać tak poważnie, jak jego dzieło. Jest on wkońcu tylko uprzednim warunkiem swego dzieła, łonem matczynem, gruntem, w pewnej mierze pognojem i śmieciem, na którym, z którego ono wyrasta, – a zatem w najliczniejszych wypadkach czemś, o czym trzeba zapomnieć, jeśli się samem dziełem radować chcemy. Wnikanie w p o c h o d z e n i e dzieła należy do fizyologów i wiwisektorów ducha: nigdy zaś, nigdy do ludzi estetycznych, artystów! Poecie i twórcy Parsyfala nie zostało oszczędzonym głębokie, podstawowe, nawet straszliwe wżycie się i zejście w średniowieczne kontrasty duszne, złowrogie stanie na uboczu od wszelkiej wyżyny, surowości i karności ducha, pewien rodzaj intelektualnej p r z e w r o t n o ś c i (jeśli mi się wybaczy to słowo), podobnie jak brzemiennej kobiecie wszystkie obrzydliwości i przedziwności ciąży, o których, j a k się rzekło, musi się zapomnieć, by móc się dzieckiem radować. Należy się wystrzegać i nie mieszać rzeczy, jak to sam artysta zbyt łatwo czyni, z psychologicznej *contiguity*, jak mówią Anglicy: jakoby on sam b y ł tem, co przedstawiać, wymyślać, wyrażać może. Faktycznie jest tak, że j e ś l i b y był tem właśnie, siłą konieczności nie mógłby tego przedstawić, wymyślić, wyrazić; Homer nie byłby stworzył Achillesa, Goethe Fausta, gdyby Homer był Achillosem a Goethe Faustem. Doskonały i zupełny artysta jest po wszystkie wieki oddzielony od »realności«, od rzeczywistości; z drugiej strony jest zrozumiałem, jak tą »nierealnością« i fałszywością swego najwnętrznego istnienia niekiedy aż do rozpaczy znużyć się może – i że usiłuje wówczas wtargnąć w to, co mu właśnie najbardziej wzbronione, w to, co rzeczywiste, i b y ć rzeczywście. Z jakim powodzeniem? Można

odgadnąć... J e s t t o t y p o w a z a c h c i a n k a twórcy, ta sama zachcianka, której uległ i postarzały Wagner i którą tak drogo, tak fatalnie odpokutować musiał (- stracił z. jej powodu część najcenniejszych przyjaciół). Lecz wkońcu, pomijając tę z a c h c i a n k ę, któżby wogóle nie życzył dla samego Wagnera, by i n a c z e j się był pożegnał z nami i swój ą sztuką, nie Parsyfalem, lecz bardziej zwycięsko, z większą pewnością siebie, bardziej po wagnerowsku, - mniej uwodzaco na manowiec, mniej dwuznacznie w stosunku do całości swych usiłowań, mniej po szopenhauerowsku, mniej nihilistycznie?...

5.

- Cóż więc znaczą ideały ascetyczne? Jeżeli chodzi o artystę, pojmujemy to właśnie: n i c z g o ł a!... Lub tak wiele rzeczy, że jest to tyle, co nic zgoła... Wreszcie, cóż zależy na tem? Panom artystom daleko do tego, by stać dość niezależnie na świecie i p r z e c i w świecie, żeby ich oceny wartości i zmiana tychże zasługiwała w s o b i e na współodczuwanie! Byli oni wszystkich czasów lokajami jakiejś moralności, lub filozofii, lub religii, pomijając już całkiem, że byli niestety dość często nazbyt gibkimi dworakami swych zwolenników i popleczników i wietrzącymi pochlebcami wobec starych lub właśnie nowowynurzających się potęg. Co najmniej potrzebują zawsze ochrony, oparcia, jakiegoś ustalonego autorytetu: artyści nie stoją nigdy o własnej sile, stanie o własnej sile sprzeciwia się ich najgłębszym instynktom. Tak na przykład Ryszard Wagner wziął sobie filozofa Schopenhauera, gdy »nadszedł czas«, za przewodnika i opiekuna: - któżby zresztą choćby tylko przypuścili że mógł mieć o d w a g ę do ideału ascetycznego bez poparcia, którego mu użyczała filozofia Schopenhauera, bez autorytetu Schopenhauera, który w siedmdziesiątych latach osiągnął w Europie p r z e w a g ę (pominąwszy już, czy w n o w y c h Niemczech był wogóle możliwy artysta bez mleka bogobojnego, państwowo bogobojnego sposobu

myślenia). - I oto dotarliśmy do najpoważniejszego pytania: co znaczy, jeśli prawdziwy filozof hołduje ideałowi ascetycznemu, prawdziwie na sobie samym oparty duch, jak Schopenhauer, mąż i rycerz o spiżowym spojrzeniu, który ma odwagę być sobą samym, który umie stać sam, a nie czeka dopiero na przodowników i skinienia z góry? - Rozważmy tu natychmiast godne uwagi i dla pewnego rodzaju ludzi moc czaru mające stanowisko Schopenhauera w stosunku do sztuki: bo ono to było oczywiście powodem, dla którego przede wszystkim Ryszard Wagner przeszedł na stronę Schopenhauera (namówiony do tego przez pewnego poetę, wiadomo, przez Herwegha), i to aż do tego stopnia, że przez to rozwarła się zupełna teoretyczna sprzeczność pomiędzy jego dawniejszą a jego późniejszą wiarą estetyczną. Pierwsza naprzykład wyrażona jest w »Operze i Dramacie«, druga w pismach, które wydał po roku 1870. W szczególności zmienia Wagner, co może najbardziej zadziwia, zmienia odtąd bezwzględnie swój sąd o wartości i stanowisku muzyki samej: cóż zależało mu na tem, że dotąd czynił z niej środek, medium, »kobietę«, która, by się rozwinąć, potrzebuje koniecznie celu, męczyzny - mianowicie dramatu! Pojął on odrazu, że z schopenhauerowską teorią i nowinką w i e c e j zrobić można *in maiorem musicae gloriam*, - to jest z s a m o w ł a d z t w e m muzyki, tak jak je Schopenhauer pojął. Muzyka stanęła tu na uboczu od wszystkich pozostałych sztuk, jako niezawisła w sobie sztuka, n i e, jak tamte, przedstawiające odbicia zjawiskowości, raczej jako przemawiająca językiem w o l i bezpośrednio z »bezdni«, jako jej najwłaśniejsze, najpierwotniejsze, wprost z niej się wywodzące objawienie. Wraz z tem nadzwyczajnem podwyższeniem wartości muzyki, wyrosłem z filozofii schopenhauerowskiej, podniósł się odrazu i sam m u z y k niesłychanie w cenie: stał się odtąd wyrocznią, kapłanem, ba, więcej niż kapłanem, pewnego rodzaju trąbą »rzeczy samej w sobie«, telefonem zaświata, - wypowiadał odtąd nietylko

muzykę, ten brzuchomowca boga, – wypowiadał metafizykę: cóż dziwnego, że wreszcie pewnego dnia zaczął prawić o i d e a ł a c h a s c e t y c z n y c h?...

6.

Schopenhauer zużytkował dla siebie kantowskie ujęcie problemu estetycznego, – jakkolwiek z pewnością nie patrzył nań kantowskimi oczyma. Kant spodziewał się, że wyświadczy zaszczyt sztuce, gdy między właściwościami piękna odznaczy i na czoło wysunie te, które są zaszczytem wiedzy: bezosobowość i ważność powszechna. Czy to nie było w zasadzie błędem, nie tu miejsce do roztrząsania; podkreślić jeno pragnę, że Kant, podobnie jak wszyscy filozofowie, zamiast patrzeć na problemat estetyczny ze stanowiska doświadczeń artysty, rozmyślał o sztuce i pięknie jedynie ze stanowiska »widza« i przytem wciągnął niepostrzeżenie samego »widza« w pojęcie »piękny«. Lecz gdyby przynajmniej ten »widz« był dostatecznie znany filozofującym o pięknie! – to jest jako wielka o s o b i s t a oczywistość i doświadczenie, jako pełnia najbardziej własnych silnych wydarzeń życiowych, żądz, niespodzianek, zachwyków w dziedzinie piękna! Lecz rzecz miała się zawsze, jak się obawiam, przeciwnie: tak więc otrzymujemy od nich zaraz z początku definicje, które jak w owej sławnej definicyi Kanta o pięknie, brak wytworniejszego doświadczenia własnego toczy jak duży robak w miejscu zasadniczej pomyłki. »Piękne jest, mówi Kant, co się podoba b e z i n t e r e s o w n i e«. Bezinteresownie! Porównajmy z tą definicyą tamtą inną, którą stworzył prawdziwy »widz« i artysta, – Stendhal, nazywający raz piękno *une promesse de bonheur*. Jest tu w każdym razie właśnie o d r z u c o n e i wykreślone to, co Kant w estetycznym stanie jedynie wyróżnia: *le desinteressement*. Kto ma słuszność, Kant czy Stendhal? – Oczywiście, jeżeli naszym estetykom nie przykrzy się obciążać szali na rzecz Kanta tem, że pod czarem piękna można n a w e t nieubrane posągi kobiece oglądać »bezinteresownie«, to nam

wolno też pobawić się trochę ich kosztem: – doświadczenia a r t y s t ó w są na tym śliskim punkcie bardziej »interesujące«, a w każdym razie Pigmalion n i e koniecznie musiał być »człowiekiem nieestetycznym«. Złożmy tem lepsze świadectwo niewinności naszych estetyków, która odzwierciedla się w takich argumentach, poczytajmy naprzykład Kantowi za chlubne to, czego o najistotniejszej właściwości zmysłu dotyku uczyć umie z naiwnością wiejskiego proboszcza! – A teraz powracamy do Schopenhauera, który w zupełnie innej, niż Kant, mierze był bliski sztukom, a jednak nie mógł wydobyć się z zaklętego koła kaniowskiej definicyi: jak to się stało? Okoliczność jest dość dziwna: słowo »bezinteresownie« wykladał sobie w najosobistszy sposób, na podstawie jednego doświadczenia, które u niego należeć musiało do najprawidłowszych. O niewielu rzeczach mówi Schopenhauer z taką pewnością, jak o działaniu kontemplacyi estetycznej: pomawia ją, że przeciwdziała ona właśnie »interesowności« p ł c i o w e j, podobnie więc jak lupulina i kamfora; był nieznużony na punkcie uświetniania t e g o wyzwala się od woli, jako wielkiej korzyści i pożytku stanu estetycznego. Ba, czuje się pokusę zapytać, czy jego zasadnicza koncepcya »woli i wyobrażenia«, czy jego myśl, iż wyzwolenie się z »woli« możliwe jest jedynie przez »wyobrażenie«, nie pochodzi z uogólnienia owego doświadczenia płciowego. (Przy wszystkich zagadnieniach co do filozofii szopenhauerowskiej, mówiąc nawiasem, nie należy nigdy wypuszczać z pod uwagi, że jest ona koncepcją dwudziestosześcioletniego młodzieńca, że więc zabarwiona jest nie tylko tem, co jest specyficznem w Schopenhauerze, lecz i tem, co jest specyficznem w owym okresie życia.) Posłuchajmy naprzykład jednego z najwyraźniejszych ustępów z pośród tych licznych, które pisał na chwałę stanu estetycznego (Świat jako wola i wyobrażenie, I., 231), wsłuchajmy się w ton, w cierpienie, szczęście, wdzięczność, z którymi te słowa musiały być wymawiane. »Jest to stan bezbolesny,

który Epikur sławił jako dobro najwyższe i jako stan bogów; na tę chwilę pozbyliśmy się marnego naporu woli, święcimy sabat więziennej pracy chcenia, koło Iksyona zatrzymało się«... Co za dosadność słów. Co za patologiczne prawie przeciwstawienie czasu »owej chwili« i pozostałego poza tem »koła Iksyona« »wyznawczej pracy chcenia« i »marnego naporu woli«! – Lecz przypuściwszy, że Schopenhauer ma stokrotnie co do swej osoby słuszność, co uczyniono przez to dla lepszego wniknięcia w istotę piękna? Schopenhauer opisał jedno działanie piękna, to, które uspakaja wolę, – jestże ono jednak prawidłowe? Stendhal, jak się rzekło, natura nie mniej zmysłowa, lecz szczęśliwiej niż Schopenhauer udana, podnosi inne działanie piękna: »piękno o b i e c u j e szczęście«. Jemu wydaje się właśnie »p o b u d z e n i e w o l i« (»interesu«) przez piękno rzeczywistym stanem rzeczy. I czyżby nie można wkońcu samemu Schopenhauerowi zarzucić, że się pod tym względem bardzo niesłusznie za kantowczyka uważa, że kaniowskiej definicji piękna wcale a wcale po kantowsku nie rozumiał, – że i jemu piękno podoba się z »interesu«, nawet najsilniejszego, najosobistszego interesu z interesu katowanego, który się od swej katuszy uwalnia?... I by powrócić do naszego pierwszego zagadnienia, »cóż znaczy, jeśli filozof hołduje ideałom ascetycznym?« – to znajdujemy tu przynajmniej pierwszą wskazówkę: c h c e s i ę u w o l n i ć o d k a t u s z y. -

7.

Strzeżmy się przy słowie »katusza« zasępiąc zaraz twarz: w tym właśnie wypadku jest dość do zastrzeżenia, dość do odjęcia, – pozostaje nawet dość do śmiechu. Nie należy nam niedoceniać mianowicie, że Schopenhauerowi, który w istocie uważał płciowość za osobistego wroga (a obejmował tem uczuciem jej narzędzie, kobietę, to »*instrumentum diaboli*«), wrogowie byli n i e z b ę d n i i do zachowania dobrej myśli; że lubił zgryźliwe, żółciowe,

czarnozielone słowa; że gniewał się, by się gniewać, z pasyi; że byłby zachorował, byłby się stał p e s y m i s t ą (- bo nie był nim, acz bardzo tego pragnął) bez swych wrogów, bez Hegla, bez kobiety, bez zmysłowości i całej woli istnienia, pozostania. Schopenhauer byłby inaczej t u n i e pozostał, można się o to założyć, byłby stąd uciekł: jego wrogowie jednak trzymali go silnie, jego wrogowie uwodzili go ciągle nanowo ku istnieniu, jego gniew był, zupełnie jak gniew starożytnych cyników, jego pokrzepieniem, jego wypoczynkiem, jego odwetem, jego *remedium* przeciw wstrętowi, jego s z c z ę ś c i e m. Tyle co do strony najosobistszej w sprawie Schopenhauera; z drugiej strony jest tu jeszcze coś typowego, - i tu dopiero spotykamy się znowu z naszym problematem. Pewnem jest bezsprzecznie, że odkąd istnieją na ziemi filozofowie i wszędzie, gdzie tylko istnieli filozofowie (od Indyi do Anglii, by wziąć przeciwległe bieguny uzdolnień do filozofii), istnieje też w stosunku do zmysłowości filozoficzna drażliwość i *rancune* - Schopenhauer jest tylko najwymowniejszym, i jeśli się ma uszy po temu, także najbardziej porywającym i zachwycającym ich wybuchem -; istnieje również pewne filozoficzne przysposobienie i serdeczność względem całego ideału ascetycznego, jednak nie należy się co do tego łudzić. Jedno i drugie, jak się rzekło, należy do typu; jeśli obojga brak filozofowi, to jest on - można być tego pewnym - zawsze tylko »tak zwanym«. Cóż to z n a c z y? Bo trzeba ten stan rzeczy dopiero interpretować: stoi on tu sam w sobie, głupi po wszystką wieczność, jak wszelka »rzecz sama w sobie«. Każde zwierzę, tem samem także *la bete philosophe*, dąży instynktownie do pewnego *optimum* sprzyjających warunków, wśród których może całkowicie sile swej dać ujście i osiąga *maximum* poczucia mocy; każde zwierzę odrzuca tak samo instynktownie i z pewną czułością węchu, »wyższego niż wszelki rozsądek«, wszystkie rodzaje wichrzycieli i przeszkód, które mu stają lub stanąć mogą na tej drodze do *optimum* (- to, o czem mówię, nie jest jego drogą do

»szczęścia«, lecz jego drogą do mocy, do czynu, do najmocniejszego działania, i w najliczniejszych wypadkach faktycznie jego drogą do nieszczęścia). W ten sposób odrzuca filozof m a ł ż e ń s t w o, wraz z tem, coby do niego nakłonić mogło, – małżeństwo jako przeszkodę i fatalność na jego drodze do *optimum*. Któryż wielki filozof był dotąd żonaty? Heraklit, Platon, Dekart, Spinoza, Leibniz, Kant, Schopenhauer – nie byli nimi; więcej jeszcze, nie można ich sobie nawet jako żonatyh w y o b r a z i ć. Żonaty filozof należy d o k o m e d y i, to moje twierdzenie: a ów wyjątek, Sokrates – złośliwy Sokrates, ożenił się, zda się, *ironice*, jedynie by t e g o właśnie twierdzenia dowieść. Każdy filozof rzekłby, jak rzekł Budda, gdy mu oznajmiono urodzenie syna: »*Rahula* mi się urodził, pęto mi ukuto« (*rahula* znaczy tu »mały demon«); dla każdego »ducha wolnego« musiałaby nadejść ta pełna namysłu godzina, przypuściwszy, że miał przedtem bezmyślną, która niegdyś nadeszła dla Buddy: »utrapione, myślał w sercu, jest życie w domu, miejscem nieczystości; wolność jest w porzuceniu domu«; »a że tak myślał, opuścił dom«. Ideał ascetyczny wskazuje tyle mostów do n i e z a w i s ł o ś c i, że filozof nie może bez wewnętrznej radości i przykłaśnięcia słuchać historii tych wszystkich zdecydowanych, którzy pewnego dnia wszelkiej niewoli rzekli n i e i poszli gdzieś na p u s t y n i ę, przypuściwszy nawet, że były to tylko silne osły i zupełne przeciwieństwa silnego ducha. Cóż wedle tego znaczy ideał ascetyczny filozofa? Odpowiedź moją odgadliście zapewne dawno: filozof na jego widok uśmiecha się do *optimum* warunków najwyższej i najśmielszej duchowości, – nie zaprzecza przez to »istnienia«, potwierdza raczej s w o j e istnienie i t y l k o swoje istnienie i to może aż do tego stopnia, że nie jest daleki od występnego życzenia: *pereat mundus, fiat philosophia, fiatphilosophus, fiam!...*

8.

Jak widać, nie są to wcale nieprzekupni świadkowie i sędziowie w a r t o ś c i ideału ascetycznego, ci filozofowie! Myślą o s o b i e, - cóż ich obchodzi »święty«! Myślą przytem o tem, co dla n i c h właśnie jest najniezbędniejsze: to jest o wolności od musu, przeszkody, hałasu, od zajęć, obowiązków, trosk; o jasności w głowie, o tańcu, skoku i locie myśli; o dobrem powietrzu, rzadkiem, czystem, wolnem, suchem, jak powietrze wyżynne, wśród którego wszelkie istnienie zwierzęce duchowem się staje i dostaje skrzydeł; o spokoju we wszystkich *souterrains* ; wszystkie psy uwiązane starannie na łańcuchach; nie słyszeć szczekania nieprzyjaźni ni rozczochranej *rancune* ; żadne podjadki nie toczą zadraśniętej dumy; skromne i poddańcze wnętrzości są pilne, jak kołowroty młyńskie, lecz dalekie; serce obce, zaświatowe, przyszłe, pogrobowe, - myślą, razem wzięwszy, przy ideale ascetycznym o pogodnym ascetyzmie przebóstwionego i uskrzydłonego zwierza, który więcej ponad życiem buja, niż spoczywa. Wiadomo, czem są te trzy błyskotliwe słowa ideału ascetycznego: ubóstwo, pokora, czystość: przypatrzcie się jeszcze raz zblizka życiu wszystkich wielkich, rodzajnych, wynalazczych duchów, - odnajdziecie tam zawsze wszystkie trzy do pewnego stopnia. Wcale n i e, rozumie się samo przez się, jako ich »cnoty« - cóż ma ten rodzaj ludzi do czynienia z cnotami! - lecz jako najistotniejsze i najnaturalniejsze warunki ich n a j l e p s z e g o istnienia, ich n a j b u j n i e j s z e j płodności Przytem jest zgoła możliwem, że ich dominująca duchowość musiała wprzód wodze nałożyć niepohamowanej i drażliwej dumie lub krnąbrnej zmysłowości, albo że dość trudno jej było sercem i ręką podtrzymywać swą wolę »pustyni« przeciw skłonności do zbytku i największego wyszukania, jak i przeciw marnotrawnej szczodrocie. Lecz czyniła to właśnie jako instykt d o m i n u j ą c y, który żądania swe przeprowadzał przed wszystkimi innymi instyktami i czyni to jeszcze; gdyby tego nie czyniła, nie byłaby właśnie dominującą.

Niema więc w tem nic z »cnoty«. Zresztą p u s t y n i a, o której właśnie mówiłem, gdzie wycofują się i samotnieją silne, niezawisłe nastrojone duchy – och, jakże inaczej wygląda, niż wykształceni ją sobie wyobrażają! – w danych razach bowiem oni nią są, ci wykształceni. I pewnem jest, że wszyscy duchowi aktorzy siłą konieczności nie wytrzymaliby w niej, – dla nich nazbyt mało jest ona romantyczna i syryjska, nazbyt mało pustynią teatralną. Jużci nie brak i w niej wielbłądów: do tego jednak ogranicza się całe podobieństwo. Własnowolne może ukrycie w ciemności; usuwanie się z drogi samemu sobie; lęk przed wrzawą, szacunkiem, gazetą, wpływem; mały urząd, dzień powszedni; coś co więcej ukrywa, niż na światło stawia; przy sposobności obcowanie z beztroskim, pogodnym zwierzem i ptastwem, którego widok pokrzepia; góry do towarzystwa, lecz nie martwe, góry z o c z a m i (to znaczy z jeziorami); w danym razie nawet pokój w przepełnionej wszechświatowej gospodzie, gdzie się jest pewnym, że nas wezmą za kogo innego, i gdzie bezkarnie można mówić z każdym, – to jest tu pustynią: och, jest ona dość samotna, wierzcie mi! Gdy Heraklit wycofywał się w dziedzińce wolne i portyki olbrzymiej świątyni Artemidy, to »pustynia« ta była godniejsza, przyznaję: dlaczego nam brak takich świątyń? (- może nam ich n i e brak: właśnie przypominam sobie swoją najpiękniejszą pracownię, *piazza di San Marco*, pod warunkiem, że jest wiosna i przedpołudnie, pora między 10-tą a 12-tą). Lecz co Heraklit wymijał, to to samo, czemu m y dziś z drogi schodzimy: to zgiełk i demokratyczna gadanina Efezyjczyków, ich polityka, ich nowinki o »państwie« (Persyi, rozumiecie mnie), ich kram jarmarczny »dnia dzisiejszego«, – bo my, filozofowie, potrzebujemy przede wszystkim spokoju od jednego: od wszelkiego »dzisiaj«. Czcimy to, co ciche, zimne, dostojne, dalekie, przeszłe, wszystko wogóle, na czego widok dusza nie musi się bronić i zasznurowywać, – coś, o czym można mówić, nie mówiąc g ł o ś n o.

Posłuchajcie tylko dźwięku ducha, gdy mówi; każdy duch ma swój dźwięk, kocha swój dźwięk; Ten tam naprzykład to z pewnością agitator, to znaczy pusta głowa, pusty garnek: cokolwiek weń wejdzie, wychodzi zeń dudniąco i grubo, obciążone echem wielkiej próżni. Tamten mówi prawie zawsze ochryple: czyżby siebie ochryple p o m y ś l a ł? To możliwe - zapytajcie fizyologów -, lecz kto słowami myśli, myśli jako mówca, a nie jako myśliciel (zdradza to, że w gruncie myśli nie o rzeczach, nie rzeczowo, lecz tylko o stosunku do rzeczy, że myśli właściwie o s o b i e i o swoich słuchaczach). Ten trzeci tu mówi natarczywie, nazbyt przybliżą się do nas, wieje nam w twarz swym oddechem, - mimowoli zamykamy usta, chociaż przez książkę mówi do nas: dźwięk jego stylu wyjawia powód tego, - że nie ma on czasu, że mało wierzy w samego siebie, że dziś, lub nigdy już nie dojdzie do słowa. Lecz duch, który jest pewien samego siebie, mówi cicho; szuka ukrycia, pozwala czekać na siebie. Filozofa poznaje się po tem, że schodzi z drogi trzem błyszczącym i głośnym rzeczom: sławie, książętom i kobietom; przez co jeszcze nie powiedziano, że one do niego nie przychodzą. Unika zbyt jasnego światła; dlatego unika swego czasu i jego »dnia«. W tem jest podobny do cienia: im bardziej mu słońce zachodzi, tem większy się staje. Co się tyczy jego »pokory« to znosi pewną zawisłość i zaćmienie, jak znosi ciemność. Co więcej, boi się zaburzeń od gromów, przeraża go bezchronność nazbyt wyosobnionego i na pastwę wydanego drzewa, na którym każda burza daje upust swym gniewom, każdy gniew swej burzy. Jego instynkt »macierzyński«, tajemna miłość ku temu, co w nim wzrasta, wskazuje mu położenia, w których odjęte mu jest myślenie o s o b i e; w tem samem znaczeniu, jak instynkt m a t k i w kobiecie utrzymywał dotąd zależne stanowisko kobiety wogóle. Dość mało wkońcu żądają ci filozofowie, ich hasłem jest »kto posiada, jest posiadany« -: i t o n i e, jak ciągle powtarzać muszę, z cnoty, z zasługą będącej woli przestawania na małym i prostoty, lecz ponieważ ich pan

najwyższy t e g o od nich wymaga, mądrze i nieubłaganie wymaga; pan, który jedno tylko rozumie i wszystko, czas, siłę, miłość, interes na to tylko gromadzi i oszczędza. Ten rodzaj ludzi nie lubi być niepokojony przez nieprzyjaźń, ani też przez przyjaźń; zapomina lub pogardza łatwo. Niesmacznym wydaje mu się grać rolę męczennika; »dla prawdy c i e r p i e ć«; – to pozostawia ambitnym i teatralnym bohaterom duchowym i wogóle komukolwiek, kto ma czas po temu (- oni sami, filozofowie, mają coś dla prawdy u c z y n i ć). Oszczędnie używają wielkich słów; pono nawet słowo »prawda« nie przypada im do smaku: ma brzmieć pyszałkowato... Co wreszcie »czystości«; filozofów dotyczy, to ten rodzaj duchów widocznie płodność swoją zasadza na czym innym, niż na dzieciach; może na czym innym też dalsze życie swego imienia, swą małą nieśmiertelność (jeszcze nieskromniej wyrażano się w dawnych Indjach między filozofami: »pocóż potomstwo temu, którego duszą jest świat?«). Niema w tem nic z czystości jakiegoś ascetycznego skrupułu i nienawiści zmysłów, zarówno jak nie jest czystością, jeśli atleta lub dżokej powstrzymuje się od kobiet: tak chce raczej, przynajmniej na czas wielkiej ciąży, ich dominujący instynkt. Każdy artysta wie, jak szkodliwe jest spółkowanie w stanach wielkiego duchowego napięcia i przygotowania; najpotężniejszym i pod względem instynktów najpewniejszym pośród nich nie potrzeba dopiero doświadczenia, złego doświadczenia, – lecz właśnie ich instynkt »macierzyński« rozporządza bezwiednie na rzecz stającego się dzieła wszelakimi zapasami i naddatkami siły, od jurności zwierzęcego życia począwszy: większa siła z u ż y w a wtedy mniejszą. – Wytłumaczmy zresztą wedle tej interpretacji powyżej omówiony przykład z Schopenhauerem: widok piękna oczywiście działał na niego, n a g ł ó w n ą s i ł ę jego natury, jako podnieta wyzwalająca (na siłę namysłu i głębokiego wnikania); tak że siła ta wybuchła i za jednym zamachem opanowywała świadomość. Tem samym nie wyklucza się

wcale możliwości, że owa osobliwa słodycz i pełnia, właściwa stanowi estetycznemu, mogłaby właśnie pochodzić z domieszki »zmysłowości« (jak z tego samego źródła pochodzi ów »idealizm«, w którym podobają sobie dziewczęta na wydaniu) – że więc – zmysłowość za nadejściem stanu estetycznego nie zostaje zniesiona, jak Schopenhauer sądził, lecz przekształca się tylko i uświadamia, ale już nie jako podnieta płciowa. (Do tego punktu widzenia wrócę innym razem, w związku z jeszcze delikatniejszymi problematami tej dotąd tak nietykanej, tak niewyjaśnionej *f i z y o l o g i i e s t e t y k i*).

9.

Pewien ascetyzm, widzieliśmy to, pewne twarde i pogodne najdobrowolniejsze wyrzeczenie się należy do warunków, sprzyjających najwyższej duchowości, tak samo też do jej najnaturalniejszych skutków: z góry więc nie będzie to żadną dziwotą, jeśli właśnie filozofowie nie odnosili się nigdy do ideału ascetycznego bez pewnego dobrego uprzedzenia. Przy poważnym historycznym obrachunku okazuje się nawet, że węzeł między ideałem ascetycznym a filozofią był jeszcze o wiele ciaśniejszy i surowszy. Rzeczyby można, że dopiero na pasku tego ideału filozofia wogóle nauczyła się stawiać pierwsze kroki i kroczyki na ziemi – ach, tak jeszcze niezgrabnie, ach, jeszcze z tak strapioną miną, ach, tak gotowa do upadku i leżenia na brzuchu, ta mała, bojaźliwa niedojda i chuchro z krzywymi nogami! Wiodło się filozofii z początku jak wszystkim dobrem rzeczom, – nie miały długo odwagi być samymi sobą, oglądały się zawsze, czy nikt im z pomocą przyjść nie zechce, co więcej, baty się każdego, kto im się przyglądał. Policzcie poszczególne popędy i cnoty filozofa po kolei – jego popęd powątpiewający, jego popęd zaprzeczający, jego popęd wyczekujący (»ephektyczny«), jego popęd analityczny, jego popęd badawczy, szukający, ważący, jego popęd porównawczy i wyrównawczy, jego wolę bezstronności i przedmiotowości, jego wolę wszelkiego »*sine*

ira et studio« -: czyście też już pojęli, że wszystko to razem przez najdłuższy okres czasu nie zgadzało się z elementarnymi żądaniami moralności i sumienia? (nie mówiąc wcale o r o z u m i e wogóle, który Luter jeszcze lubił nazywać p a n i ą M ą d r o c h ą, m ą d r ą n i e r z ą d n i c ą). Że filozof, j e ś l i b y b y ł się sobie uświadomił, byłby się wprost musiał czuć ucieleśnionem »*nitimur in v e t i t u m*« - i byłby następnie w y s t r z e g a ł s i ę »czuć siebie«, uświadamiać się sobie?... Nie inaczej, jak się rzekło, ma się rzecz z wszystkimi dobrymi rzeczami, z których dziś dumni jesteśmy. Mierząc nawet jeszcze miarą starych Greków, wydaje się całe nasze istnienie nowoczesne, o ile nie jest słabością, lecz mocą i świadomością mocy, czystą *Hybris* i bezbożnością: bo właśnie odwrotność rzeczy, które dziś czcimy, miała przez najdłuższy okres czasu sumienie po swej stronie i Boga swoim strażnikiem. *Hybris* jest dziś nasz cały stosunek do natury, nasze pogwałcenie natury z pomocą machin i tak beztroskiej wynalazczości techników i inżynierów; *Hybris* jest nasz stosunek do Boga, to znaczy do jakiegoś przypuszczalnego pająka celu i obyczajności poza wielką pajęczą siecią przyczynowości - możemy, jak Karol Śmiały w walce z Ludwikiem XI, rzec »*je combats l'universelle araignee*« -; *Hybris* jest nasz stosunek do s i e b i e, bo eksperymentujemy tak na sobie samych, jakbyśmy sobie względem żadnych nie pozwolili zwierząt, rozpruwamy sobie w zadowoleniu i ciekawości duszę w żyjącem ciele: cóż nam zależy jeszcze na »zbawieniu« duszy! Potem uzdrawiamy siebie samych: choroba jest pouczająca, nie wątpimy o tem, bardziej jeszcze pouczająca niż zdrowie, - c h o r o b o t w ó r c y zdają nam się dziś nawet potrzebniejsi, niż jacykolwiek lekarze i »zbawiciele«. Gwałcimy teraz siebie samych, to nie ulega wątpliwości, my duchowi wyłuskiwacze orzechów, my pytający i pytania godni, jak gdyby życie nie było niczem, innem, jeno wyłuskiwaniem orzechów; właśnie dlatego musimy koniecznie stawać się codzień bardziej pytania godni, g o d n

i e j s i, by pytać, z tego powodu może godniejszy – życia?... Wszystkie dobre rzeczy były niegdyś ziemi rzeczami; każdy grzech pierworodny stał się cnotą pierworodną. Małżeństwo naprzykład uchodziło długo za grzech przeciwko prawu gromady; niegdyś płacono pokutą, jeśli kto był tak nieskromny, że przywłaszczał sobie kobietę (tu należy naprzykład *jus primae noctis*, które dziś jeszcze w Kambodży jest przywilejem kapłanów, tych przestrzegaczy »starych dobrych obyczajów«). Uczucia łagodne, przychylne, ustępcze, litośne – właśnie dlatego tak wartością wysokie, że są prawie »wartościami w sobie« – miały przez najdłuższy czas właśnie pogardę własną przeciw sobie: wstydzono się łagodności, jak się dziś wstydzą twardości (porównaj »Poza dobrem i złem« str. 243 i nast.) Poddanie się p r a w u: – och, z jakimż oporem sumienia zrzekały się wszędzie na ziemi szczepy dostojne *vendetty* i ustępowały przemocy prawa! Prawo było długo *vetitum*, zbrodnią, nowinką; występowało, używając przemocy, j a k o przemoc, której jedynie ulegano ze wstydem przed sobą samym. Każdy najmniejszy krok na ziemi zdobywano niegdyś katuszami ducha i ciała: ten właśnie punkt widzenia: »że nie tylko postęp naprzód, nie! pochód, ruch, zmiana potrzebowały niezliczonych męczenników«, brzmi nam dziś właśnie tak obco, – oświetliłem go w »Jutrzence« na str. 25 i nast »Niczego nie okupiono drożej, napisano tamże na str. 27, nad tę odrobinę rozumu ludzkiego i uczucia wolności, które są dziś dumą naszą. Ta duma jednak jest powodem, dla którego nam dziś niemożliwym jest prawie czuć wspólnie z owymi ogromnymi okresami »obyczajności obyczaju«, poprzedzającymi »dzieje świata«, jako prawdziwe i rozstrzygające główne dzieje, które ustaliły charakter człowieka, gdzie cierpienie uchodziło za cnotę, okrucieństwo za cnotę, udawanie za cnotę, zemsta za cnotę, zaparcie się rozumu za cnotę, natomiast zadowolenie za niebezpieczeństwo, żądza wiedzy za niebezpieczeństwo, pokój za niebezpieczeństwo, litość za

niebezpieczeństwo, wzbudzanie litości za hańbę, praca za hańbę, szaleństwo za boskość, z m i a n a za nieobyczajność i groźbę zagłady!«

10.

W tej samej książce na str. 47 wyłuszczone, wśród jakiej oceny, pod jakim n a c i s k i e m oceny musiało żyć najstarsze pokolenie ludzi kontemplacyjnych, – pogardzane w tej samej mierze, w jakiej się go nie bano! Kontemplacja przyszła na samym początku na świat w postaci o zakrytej twarzy, o wyglądzie dwuznacznym, z złem sercem i często z zaniepokojoną głową: co do tego niema wątpliwości. Pierwiastek nieczynny, zadumany, niewojowniczy w instynktach ludzi kontemplacyjnych roztaczał długo wokół nich głęboką nieufność: przeciw temu nie było innego środka jak tylko wzbudzić stanowczo s t r a c h przed sobą. I na tem znali się naprzykład starzy braminowie! Najstarsi filozofowie umieli swemu istnieniu i zjawieniu nadawać znaczenie, postawę i tło, z powodu których nauczono się ich b a ć: jeśli się rozważy dokładniej, czynili to z gruntowniejszej jeszcze potrzeby, to jest, by nabrać strachu przed samymi sobą i czci dla siebie samych. Bo znaleźli w sobie wszystkie oceny wartości zwrócone p r z e c i w sobie, musieli przeciw »filozofowi w sobie« zwalczać wszelkiego rodzaju podejrzenia i opory. Jako ludzie strasznych czasów, czynili to strasznymi środkami: okrucieństwo względem siebie, wynalazcze samoudręczenie – oto był główny środek tych spragnionych mocy pustelników i nowatorów myśli, którzy musieli w samych sobie wpierw pogwałcić bogów i wszystko, co było zwyczajem uświęcone, by sami w nowości swe w i e r z y ć mogli. Przypominam sławną historię króla Vięvamitry, który na podstawie tysiącletniego samoumartwienia zdobył takie poczucie mocy i ufności w siebie, że podjął się n o w e n i e b o zbudować: niesamowity to symbol najstarszej i najmłodszej historii filozofów na ziemi, – każdy, kto

kiedykolwiek zbudował jakieś »nowe niebo«, znajdował moc do tego dopiero w w ł a s n e m p i e k l e... Streśćmy cały stan rzeczy w krótkich formułach: duch filozoficzny musiał najpierw zawsze przebierać się i przepoczwarczać w d a w n i e j u s t a l o n e typy ludzi kontemplacyjnych, jak oto: kapłana, czarodzieja, wróżbiarza, wogóle osoby duchownej, by w jakiegokolwiek bądź mierze m ó c i s t n i e ć przynajmniej; i d e a ł a s c e t y c z n y służy przez długi czas filozofowi jako forma zjawiska, jako warunek istnienia, – musiał on go p r z e d s t a w i a ć, by móc być filozofem, musiał weń w i e r z y ć, by móc go przedstawiać. Osobliwe, w stosunku do świata zaprzeczne, życiu wrogie, zmysłom niewierne, odzmysłowione trzymanie się filozofów na uboczu, które utrzymało się aż do czasów najnowszych i przez to zyskało znaczenie prawie p o s t u r y f i l o z o f i c z n e j w s o b i e, jest przede wszystkim skutkiem nędzy warunków, wśród których filozofia wogóle powstała i istniała: to jest, że inaczej najdłuższy okres filozofii na ziemi n i e b y ł b y w c a l e m o ż l i w y bez ascetycznej powłoki i przebrania, bez ascetycznego samonieporecznienia. Wyraziwszy się pogładowo i plastycznie: k a p ł a n - a s c e t a aż do najnowszych czasów był jeno wstrętną i posępną formą gąsienicy, pod którą filozofia jedynie żyć i skradać się mogła... Czy się to rzeczywiście z m i e n i ł o? Czyż ten pstry i niebezpieczny zwierz skrzydlaty, ów »duch«, którego gąsienica owa kryła, został naprawdę dzięki słoneczniejszemu, cieplejszemu, bardziej rozjaśnionemu światu rozpowity i wypuszczony na światło? Czyż jest już dziś dość dumy, odwagi, dzielności, pewności siebie, woli duchowej, woli odpowiedzialności, w o l n o ś c i w o l i, by odtąd rzeczywiście na ziemi » filozof« – m ó g ł i s t n i e ć?...

11.

Teraz dopiero, gdyśmy już obejrżeli k a p ł a n - a s c e t ę, przybliżmy się poważnie do naszego problemu: co znaczy ideał ascetyczny? Teraz dopiero staje się on »poważnym«. Mamy teraz

przed sobą właściwego p r z e d s t a w i c i e l a p o w a g i w o g ó l e .
»Co znaczy wszelka powaga?« - To jeszcze bardziej zasadnicze pytanie wysuwa się tu może już na usta, pytanie dla fizyologów, jak słuszna, obok którego jednak tymczasem przekradniemy się jeszcze cichaczem. Kapłan-asceta składa w owym ideale nietylko swoją wiarę, lecz i swą wolę, swą moc, swój interes. Jego p r a w o do istnienia trwa i znika z owym ideałem: cóż za dziw, że natykamy się tu na strasznego przeciwnika (przypuszczając, że jesteśmy przeciwnikami owego ideału), na przeciwnika, który o swoją egzystencję walczy przeciw oszczercom owego ideału? Z drugiej strony z góry można wątpić, by tego rodzaju interesowny stosunek do naszego problemu przeciwnikowi szczególnie wyszedł na dobre; kapłanowi ascecie trudno będzie być choćby najszczęśliwszym obrońcą swego ideału, z tej samej przyczyny, z której zwykło się nie udawać kobiecie, gdy chce bronić »kobiety samej w sobie«, - nie mówiąc już o roli najefektywniejszego oceniciela i sędzi poruszonych tu kontrowersyi. Raczej więc będziemy musieli mu pomóc - tyle jest już teraz widoczne - by dobrze się przeciw nam bronił, niż żebyśmy się bać mieli, iż zbyt dobrze nas zbijać będzie... Myślą, o którą tu walka się toczy, jest o c e n a w a r t o ś c i naszego życia ze strony kapłana-ascety. Wiążą oni życie (wraz z tem, do czego ono należy, »przyrodą«, »światem«, całą sferą stawania się i znikomości) z pewnem zupełnie innego rodzaju istnieniem, do którego stoi ono w stosunku sprzecznym i wyłączającym, c h y b a, że zwraca się przeciw sobie samemu, z a p r z e c z a s i e b i e s a m e g o : w tym wypadku, z punktu widzenia życia ascetycznego, uchodzi życie za most do owego innego istnienia. Asceta uważa życie za manowiec, którym trzeba ostatecznie wstecz powrócić aż do tego miejsca, gdzie się zaczyna; lub za błąd, który się czynem zbija, - z b i ć n a l e ż y : b o w y m a g a o n, aby z nim iść, wymusza, gdzie może, s w o j ą ocenę istnienia. Cóż to oznacza? Takiej potwornej oceny wartości nie

wpisano w dzieje człowieka jako wypadku wyjątkowego i *curiosum*: jest ona jednym z najbardziej rozpowszechnionych i najtrwalszych faktów, jakie istnieją. Czytane z jakiejś dalekiej gwiazdy, wielkimi literami kreślone, pismo naszego ziemskiego istnienia doprowadziłoby może do wniosku, że ziemia jest właściwą g w i a z d ą a s c e t y c z n ą, zakątem niezadowolonych, pysznych i wstrętnych stworzeń, które nie mogą się pozbyć kwaśnego niezadowolenia z siebie samych, z ziemi, z wszelkiego życia i zadają sobie, ile tylko mogą, cierpienia dla samej przyjemności zadawania go sobie, prawdopodobnie jedynej swej przyjemności. Rozważmy bowiem, jak prawidłowo, jak powszechnie, jak w każdym czasie prawie pojawia się kapłan-asceta; nie należy on wyłącznie do żadnej rasy; zakwita wszędzie; wyrasta z wszystkich stanów. Nie dlatego, żeby hodował lub rozmnażał swe oceny wartości przez dziedziczenie; rzecz się ma odwrotnie: głęboki instynkt, biorąc ogółem, zabrania mu raczej rozmnażania się. Musi to być jakaś konieczność pierwszorzędna, która tej w r o g i e j ż y c i u *species* pomaga ustawicznie do wzrostu i rozwoju, - musi tkwić w tem i n t e r e s s a m e g o ż y c i a, by taki typ sprzeczności w sobie nie wymarł. Bo życie ascetyczne jest sprzecznością w sobie: włada tu bezprzykładnie *ressentiment* niesytego instynktu i woli mocy, pragnąc stać się panem - nie czegoś w życiu -, lecz samego życia, jego najgłębszych, najsilniejszych najbardziej zasadniczych warunków. Jest tu usiłowanie użycia siły celem zatknięcia źródeł siły; tu zwraca się zielone i jadowite spojrzenie przeciw samemu fizyologicznemu rozkwitowi, w szczególności przeciw jego wyrazowi, pięknu, radości; tymczasem uczuwa się upodobanie i s z u k a s i ę go w tem, co nieudane, zmarniałe, w bólu, w nieszczęściu, w brzydocie, w samowolnym uszczerbku, w wyzuciu się z samego siebie, samobiczowaniu, samoofierze. To wszystko jest w najwyższym stopniu paradoksalne: stoimy tu wobec rozdwojenia, które c h c e być rozdwojonem, które r

o z k o s z u j e się w tem cierpieniu samem sobą i staje się nawet coraz pewniejsze siebie i bardziej tryumfujące, w miarę jak jego własnego założenia, fizyologicznej zdolności życiowej, u b y w a. »Tryumf w ostatecznej właśnie agonii«: pod tym najwyższym znakiem walczył zdawien dawna ideał ascetyczny; w tej zagadce uwiedzenia, w tym obrazie zachwytu i udręki widział on swoje najjaśniejsze światło, swoje zbawienie, swoje ostateczne zwycięstwo. *Crux, nux, lux* - stanowi dlań jedno.

12.

Przypuściwszy, że taka ucieleśniona wola przeczenia i wynaturzania doprowadzoną zostanie do f i l o z o f o w a n i a: to na czerni wyrze ona najwnętrzną swą samowolę? Na tem, co z największą odczuwa się pewnością jako prawdziwe, jako rzeczywiste: szukać będzie b ł ę d u tam właśnie, gdzie właściwy instynkt życiowy najbezwarunkowiej wskazuje prawdę. Naprzykład, jak to czynili filozofowie Vedanty, zniży ona cielesność do złudzenia, boleść tak samo, wielość, całe przeciwieństwo pojęć »podmiot« i »przedmiot« - błędy, same tylko błędy! Odmówić swojemu ja wiary, sobie samemu własnej zaprzeczyć »realności« - co za tryumf! - już nie tylko nad zmysłami, nad oczywistością, daleko wyższy rodzaj tryumfu, pogwałcenie i okrucieństwo względem r o z u m u. Rozkosz ta dochodzi do szczytu przez to, że ascetyczna samopogarda, samoszyderstwo rozumu wyrokuję: j e s t królestwo prawdy i istnienia, lecz właśnie rozum jest zeń w y k l u c z o n y!... (Mówiąc nawiasem: nawet jeszcze w kantowskim pojęciu: »myślny charakter rzeczy«, pozostało coś z tego pochutliwego ascetycznego rozdziwienia, które lubi zwracać rozum przeciw rozumowi; »myśmy charakter« bowiem oznacza u Kanta pewną rzeczy właściwość, z której intelekt właśnie tyle pojmuje, że jest ona dla intelektu - z g o ł a n i e d o p o j ę c i a.) - Nie bądźmy zresztą, właśnie jako poznający, niewdzięczni takim właśnie rezolutnym odwróceniom

zwykłych perspektyw i ocen, któremi duch nazbyt długo pozornie zbrodniczo i bezużytecznie szalał przeciw sobie samemu. W ten sposób raz widzieć inaczej, c h c i e ć widzieć inaczej jest niemiłą wprawą i przysposabianiem intelektu do jego przyszłej »przedmiotowości«:; pojętej nie w znaczeniu »kontemplacji bezinteresownej« (coby było bez znaczenia i sensu), lecz jako możliwość d z i e r ż e n i a w s w e j m o c y swego »za« i »przeciw« i dowolnego władania niemi tak, że można używać właśnie r o z m a i t o ś c i perspektyw i uczuciowych interpretacji na pożytek poznania. Strzeżmy się bowiem, moi panowie filozofowie, odtąd lepiej przed niebezpiecznym starem pojęciowym bajczarstwem, które wymyśliło sobie »czysty, bezwolny, bezbolesny, bezczasowy podmiot poznający«, strzeżmy się polipowych ramion takich sprzecznych w sobie pojęć, jak »czysty rozum«, »bezwzględna duchowość«, »poznanie samo w sobie«: - te rzeczy bowiem wymagają zawsze, by pomyśleć sobie oko, którego zgoła pomyśleć sobie nie można, oko, które nie ma mieć żadnego kierunku, którego siły czynne i interpretujące mają być podwiązane, ma ich być brak, przez które jednak patrzenie staje się dopiero widzeniem czegoś; wymaga się tu więc zawsze od oka niedorzeczności i rzeczy nie mających znaczenia. Istnieje t y l k o perspektywiczne widzenie, t y l k o perspektywiczne poznanie. A i m w i ę c e j uczuć dopuszczamy do słowa o jakiejś rzeczy, i m w i ę c e j oczu, rozmaitych oczu dla tej samej rzeczy wstawić sobie umiemy, tem zupełniejsze staje się nasze »pojęcie« o tej rzeczy, nasza »przedmiotowość«. Wykluczyć jednak wogóle wolę, wykluczać uczucia wszystkie razem i poszczególne (przypuściwszy, że toby było w naszej mocy), jakże? nie nazywałoby się to k a s t r o w a n i e m intelektu?...

13.

Ale zawróćmy. Taka sprzeczność w sobie, jaka się w ascecie ujawniać zdaje, »życie p r z e c i w życiu«, jest - leży to już jak na

dłoni - biorąc fizyologicznie, nie zaś psychologicznie, poprostu nonsensem. Może ona być tylko p o z o r n a; musi być pewnego rodzaju tymczasowym wyrazem, wyłożeniem, formułą, przyrządzeniem, psychologicznym nieporozumieniem czegoś, czego właściwa natura nie mogła jeszcze zostać zrozumianą, nie mogła jeszcze zostać określoną s a m a w s o b i e, - jedynie słowem, wciśnięciem w starą l u k ę ludzkiego poznania. Żeby zaś krótko przeciwstawić temu istotny stan rzeczy: i d e a ł a s c e t y c z n y wypływa z o c h r o n n e g o i l e c z n i c z e g o i n s t y n k t u w y r a d z a j ą c e g o s i ę ż y c i a, które wszelkimi środkami stara się podtrzymać siebie i o istnienie swe walczy; wskazuje on na częściowy fizyologiczny zastój i znużenie, przeciw którym najgłębsze, nienaruszone instynkty życia walczą nieustannie nowymi środkami i wynalazkami. Ideał ascetyczny jest takim środkiem: rzecz ma się więc odwrotnie, niż czciciele tego ideału sądzą, - życie zмага się w nim i walczy przezeń z śmiercią i p r z e c i w ś m i e r c i, ideał ascetyczny jest fortem do u t r z y m a n i a życia. Że mógł on w tej mierze, jak tego historia uczy, rządzić i ować człowiekiem, w szczególności tam wszędzie, gdzie cywilizacja i obłaskawienie człowieka przeparte zostały, to dowodzi wielkiego faktu: c h o r o b l i w o ś c i dotychczasowego typu człowieka, przynajmniej obłaskawionego człowieka, fizyologicznego zmagania się człowieka z śmiercią (dokładniej z uprzykrzeniem sobie życia, ze znużeniem, z życzeniem sobie »końca«). Kapłan-asceta jest ucieleśnieniem życzeniem, by być czemś innym, by być gdzieindziej, i to najwyższym stopniem tego życzenia, jego właściwą żarliwością i namiętnością: lecz właśnie m o c jego życzenia jest pętem, które go tu przykuwa; właśnie przez nią staje się on narzędziem, które musi pracować, by stworzyć ponyślniejsze warunki dla istnienia tutaj i pozostania człowiekiem, właśnie tą mocą przytrzymuje on silnie przy istnieniu całą trzodę nieudanych, niezadowolonych, zawiedzionych rozbitków,

wszelkiego rodzaju cierpiących z powodu siebie samych, przodując im instynktownie jako pasterz. Sądzę, że mnie już rozumiecie: ten kapłan-asceta, ten pozorny wróg życia, ten p r z e c z y c i e l, - on właśnie należy do bardzo wielkich z a c h o w u j ą c y c h i p o t w i e r d z e n i e s t w a r z a j ą c y c h potęg życiowych... Na czym polega owa chorobliwość? Bo człowiek jest bardziej chory, bardziej niepewny, bardziej zmienny, mniej utrwalony, niż jakiegokolwiek inne zwierzę, to nie ulega wątpliwości, jest on z w i e r z ę c i e m c h ó r e m: skąd to pochodzi? Zapewne ważył się też na więcej, więcej się rzucał na nowinki, zuchwali! się więcej, wyzywał przeznaczenie więcej, niż wszystkie inne zwierzęta razem wzięte, on, wielki eksperymentator na sobie samym, on, niezadowolonec, nienasyconiec, który o ostateczne panowanie walczy z zwierzęciem, przyrodą i bogami, - on, zawsze jeszcze niezmożony, wiecznie przyszły, który przed naporem swych własnych sił nie znajduje nigdy spokoju tak, że mu jego przyszłość niezblaganie, jak ostroga, wpija się co chwila w ciało terażniejszości. Jakżeby też tak śmiałe i bogate zwierzę nie miało być najbardziej zagrożone, najdłużej i najgłębiej chore ze wszystkich chorych zwierząt?... Człowiek syt jest tego, dość często, bywały całe epidemie takiego dosytu (- na przykład około roku 1348, czasu tańca śmierci): lecz nawet ten wstręt, to znużenie, to sprzykrzenie sobie samego siebie - wszystko występuje w nim tak potężnie, że natychmiast znowu staje się nowem pętem. Jego »nie«, które mówi życiu, wyprowadza, jakby mocą czarów, pełnię tkliwszych »t a k«: na światło; ba, jeśli się z r a n i, ów mistrz niszczenia, samozniszczenia, - to potem rana sama zmusza go d o ż y c i a...

14.

Im normalniejsza jest chorobliwość w człowieku - a nie możemy normalności tej zaprzeczyć - tem wyżej powinniśmy cenić rzadkie wypadki duchowo-cieleśnej tężyzny, p o m y ś l n e o k a z y człowieka, tem surowiej strzec szczęśliwie udanych od najgorszej atmosfery,

atmosfery choroby. Czy to czynimy?... Chorzy są największym niebezpieczeństwem dla zdrowych; nie od najsilniejszych grozi silnym choroba, lecz od najśłabszych. Czy wiemy o tym?... Ogółem biorąc, wcale nie zmniejszenia się strachu przed człowiekiem powinniśmy sobie życzyć, bo strach ten zmusza silnego, by był silnym, w danym razie straszliwym - on to p o d t r z y m u j e udany typ człowieka. To, czego należy się obawiać, co działa fatalnie jak żadna fatalność, to nie wielka obawa, tylko wielki w s t r ę t do człowieka; tak samo wielka l i t o ś ć dla człowieka. Gdyby jedno i drugie, przypuśćmy, połączyło się dnia pewnego, toby nieochybnie przyszło natychmiast na świat coś najniesamowitszego, »ostatnia wola« człowieka, jego wola nicości, nihilizm. I rzeczywiście, wiele do tego przygotowano. Kto ma nietylko nos do węszenia, lecz także oczy i uszy, poczuje prawie wszędzie, gdzie tylko dziś stąpi, coś jakby atmosferę domu waryatów lub szpitala, - mówię, oczywiście, o krajach zamieszkiwanych przez człowieka cywilizowanego, o wszelkiego rodzaju »Europach«, jakie tylko istnieją na ziemi. C h o r o w i c i są wielkim niebezpieczeństwem dla człowieka: n i e źli, n i e »zwierzęta drapieżne«, - ci, którzy już z urodzenia są rozbitkami, obalonymi, złamanymi - oni to, s ł a b i, podminowują najbardziej życie pod człowiekiem, zatruwają i zarażają wątpliwością naszą ufność do życia, do człowieka, do siebie samych. Dokąd ujść przed tem fatalnym spojrzeniem, które obarcza na drogę smutkiem głębokim, przed tem wstecz zwróconym spojrzeniem dziwoląga z urodzenia, przed tem spojrzeniem, które jest jękiem! - i które zdradza, jak taki człowiek mówi do samego siebie o sobie samym: »Czyżbym mógł być czem innym? tak wzdycha ten wzrok; ale tu niema nadziei. Jestem, kim jestem: jakżebym mógł wyzbyć się samego siebie? A jednak - j e s t e m s y t s i e b i e!«... Na takim gruncie samopogardy, prawdziwie na gruncie bagnistym, rośnie wszelki chwast, wszelkie zielsko jadowite, a wszystko tak małe, tak skryte, tak nieuczciwe, tak

słodkawe. Tu roi się od robactwa uczuć zemsty i urazy; tu śmierdzi powietrze od tajności i rzeczy niewyznanych; tu tka się nieustannie sieć najzłośliwszego spisku, – spisku cierpiących przeciw pomyślnie udanym i zwycięskim; tu n i e n a w i d z i się widoku zwycięzców. A co za obłuda, by nie przyznać się, że nienawiść ta jest nienawiścią! Co za zbytek słów wielkich i postaw przybranych, co za sztuka »rzetelnego« oszczerstwa! Ci nieudani: co za szlachetna wymowa z ust ich płynie! Co za cukrzane, szlamiaste, pokorne poddanie się pływa w ich oczach! Czegóż chcą oni właściwie? Przynajmniej p r z e d s t a w i a ć sprawiedliwość, miłość, mądrość, wyższość – oto ambicya tych »najniższych«, tych chorych! A jak zręcznie poczynają sobie taka ambicya! Podziwu godna ta zręczność fałszerzy, monet, z jaką naśladowują tu odbitkę cnoty, nawet brzęk złoty, dźwięk cnoty. Ci słabi i beznadziejnie chorowici wzięli teraz zupełnie cnotę w dzierżawę, to nie ulega wątpliwości: »my jedynie jesteśmy dobrzy, sprawiedliwi, tak mówią, my jedynie jesteśmy *h o m i n e s b o n a e v o l u n t a t i s*«. Snują się pośród nas, jak ucieleśnione wyrzuty, jak przestrogi dla nas, – jak gdyby zdrowie, to co się udało, siła, duma, poczucie mocy były już wogóle czemś występniem, za co kiedyś musi się odpokutować, ciężko odpokutować: ach, jakże oni w gruncie sami gotowi są z a d a w a ć pokutę, jakże pragną gorąco być o p r a w c a m i. Jest wpośród nich pełno za sędziów przebranych mściwców, którzy ustawicznie słowo »sprawiedliwość«, jak ślinę w ustach noszą, w ustach zawsze w ciup, zawsze gotowych opluć wszystko, co nie patrzy niezadowoleniem i dobrej myśli kroczy swoją drogą. Nie brak też między nimi owego najwstrętniejszego rodzaju próżnych, kłamliwych niedorodków, którzy starają się udawać »piękne dusze« i swą na psy zesłą zmysłowość, spowitą w wiersze i inne pieluchy, na targ wynoszą jako »czystość serca«: tej *species* moralnych onanistów i »zadowolających się sobą«. Wola chorych wyobrażania j a k i e j k o l w i e k formy wyższości, ich instynkt drózek chyłkowych,

które wiedzą do tyranii nad zdrowymi, – jakżeby się znaleźć nie miała, ta wola mocy właśnie w najslabszych! W szczególności chorej kobiety nikt nie prześcignie w *raffinements* panowania, uciskania, tyranizowania. Chora kobieta nie oszczędza przytem nic żyjącego, nic umarłego, odgrzebuje najgłębiej zagrzebane rzeczy (Bogoanie mówią: »kobieta jest hyeną«). Wglądnijmy w głąb którejkolwiek rodziny, którejkolwiek korporacji, któregojkolwiek społeczeństwa: wszędzie walka chorych przeciw zdrowym, – cicha walka zazwyczaj z pomocą niepozornych proszków trujących, ukłuc szpilkowych, chytrej gry min cierpliwego znoszenia, niekiedy jednak i z owym faryzeizmem chorych, g ł o ś n y m gestem, który najchętniej odgrywa »szlachetne oburzenie«. Aż w uświęcone dziedziny wiedzy chciałoby wnikać i być słyszane to zachryple szczekanie chorowitych psów, ta kłająca obłuda i wściekłość takich »szlachetnych« faryzeuszów (- przypominam czytelnikom, mającym uszy, raz jeszcze berlińskiego apostoła zemsty, Eugeniusza Duhringa, który w dzisiejszych Niemczech najnieprzystojniejszy i najwstrętniejszy użytek czyni z moralnego bum-bum: Duhringa, największego pyskacza moralności, jaki obecnie istnieje, nawet wśród jemu równych, antysemitów). Wszystko to są ludzie opanowani przez *ressentiment*, te fizjologiczne rozbitki i robaczywce, całe to drgające państwo podziemnej zemsty, niewyczerpane, nienasycone w wybuchach przeciw szczęśliwym, a tak samo w maskaradach zemsty, w pozorach do zemsty: kiedyżby doszli właściwie do swego ostatecznego, najprzebieglejszego, najwznioślejszego tryumfu zemsty? Wtedy niewątpliwie, gdyby im się udało swą własną nędzę, całą nędzę wogóle w t ł o c z y ć w s u m i e n i e szczęśliwych tak, że ci pewnego dnia poczęliby się wstydzić swego szczęścia i możeby r z e k l i do siebie »hańbą jest być szczęśliwym! za w i e l e j e s t n ę d z y!«... Lecz nie mogłoby być większego i fatalniejszego nieporozumienia, niż gdyby szczęśliwi, udani, mocni na ciele i duszy poczęli wątpić o swem

p r a w i e d o s z c z ę ś c i a. Precz z tym »przewróconym światem«!
Precz z tem haniebnem zmiękczeniem uczucia! Żeby chorzy
zdrowych nie uczynili chorymi - a temby było takie zmiękczenie -, oto
powinien być najwyższy punkt widzenia na ziemi: - do tego jednak
potrzeba przede wszystkim, by z d r o w y c h oddzielić od chorych,
strzec nawet od widoku chorych, aby siebie za chorych nie brali. Lub
czyżby miało być ich zadaniem zostać dozorcami chorych
i lekarzami!... Lecz nie mogliby gorzej nie rozumieć i zaprzeczać s
w e g o zadania, - co wyższe, n i e p o w i n n o zniżać się do roli
narzędzia tego, co niższe, patos oddalenia p o w i n i e n po całą
wieczność utrzymywać przedział w zadaniach! Ich prawo istnienia,
pierwszeństwo dzwonu o pełnym dźwięku przed fałszywym,
pękniętym, jest przecie tysiąckroć większe; oni jedynie są p o r ę c z y
c i e l a m i przyszłości, oni jedynie są z o b o w i ą z a n i względem
przyszłości człowieka. C o o n i mogą, co o n i powinni, tego nie
śmieją nigdy chorzy móc, ni mieć w powinności: lecz a ż e b y mogli
to, co tylko o n i powinni, jakżeby miało im być wolno być lekarzem,
pocieszycielem, »zbawicielem« chorych?... A przeto czystego
powietrza! czystego powietrza! A w każdym razie precz z pobliża
wszelkich domów waryatów i szpitalów kultury! A przeto dobrego
towarzystwa! s w e g o towarzystwa! Lub samotności, jeśli tak być
musi! Lecz w każdym razie precz od złych wyziewów wewnętrznej
zgnilizny i tajemnego robaczywego ściierwa chorych!... A to dlatego,
by siebie samych, przyjaciele moi, przynajmniej na chwilę jeszcze
obronić przed dwiema najgorszymi zarazami, które oby nam właśnie
oszczędzane były: przed w i e l k i m w s t r ę t e m d o c z ł o w i e k a!
a! p r z e d w i e l k ą l i t o ś c i ą d l a c z ł o w i e k a!...

15.

Jeśli pojęliście w całej głębi - a żądam, by tu właśnie s i ę g a n o g ł
ę b o k o, pojmowano do głębi - o ile w każdym razie nie może być
zadaniem zdrowych pielęgnowanie chorych, uzdrawianie chorych, to

pojęliście tem samem i jedną konieczność więcej – konieczność dla chorych takich lekarzy i dozorców, k t ó r z y s a m i s ą c h o r z y: i oto mamy i trzymamy obu rękami znaczenie kapłana-ascety. Musimy uważać kapłana-ascetę za przeznaczonego z góry na zbawiciela, pasterza i rzecznika chorego stada: wtedy dopiero zrozumiemy jego ogromne posłannictwo dziejowe. P a n o w a n i e n a d c i e r p i ą c y m i jest jego królestwem, ku niemu popycha go instynkt jego, w niem tkwi jego najistotniejsza sztuka, jego mistrzostwo, jego rodzaj szczęścia. Sam on chory być musi, musi być z gruntu pokrewny chorym i zawiedzionym, aby ich rozumieć, – by porozumieć się z nimi, lecz musi też być silny, bardziej jeszcze panem samego siebie, niż innych, nienaruszonym mianowicie w swej woli mocy, by zdobyć zaufanie i strach chorych, by mógł im być przystankiem, oporem, podparciem, musem, karnością, tyranem, bogiem. Musi bronić swego stada – przeciw komu? Przeciwno zdrowym, to nie ulega wątpliwości, także przeciwko zazdrości względem zdrowych; musi być naturalnym przeciwnikiem i g a r d z i c i e l e m wszelkiego surowego, burzliwego, nieujarzmionego, twardego, gwałtowniczodrapieżnego zdrowia i tężyzny. Kapłan jest pierwszą formą d e l i k a t n i e j s z e g o zwierzęcia, które łatwiej jeszcze pogardza, niż nienawidzi. Nie będzie mu oszczędzone prowadzenie wojny z dzikimi zwierzętami, wojny chytrości («ducha») bardziej, niż przemocy, jak się rozumie samo przez się, – będzie musiał w razie potrzeby wytworzyć z siebie prawie pewien nowy typ dzikiego zwierzęcia, przynajmniej o z n a c z a ć go – pewną nową straszliwość zwierzęcą, w której niedźwiedź polarny, gibka, zimna, wyczekująca tygrysica i niemniej lis zdają się być złączone w równie pociągającą, jak napawającą strachem jedność. Jeżeli zmusza go do tego potrzeba, występuje niedźwiedź poważny, czcigodny, roztropny, zimny, zwodniczo-rozważny, jako herold i narzędzie głosu tajemniejszych potęg, pomiędzy inne rodzaje zwierząt drapieżnych sam, zdecydowany siał na tym gruncie

cierpienie, rozdzielenie, sprzeczność z sobą, gdzie tylko może, zbyt pewny swej sztuki opanowywania c i e r p i ą c y c h każdej chwili. Przynosi z sobą maście i balsamy, niema wątpliwości! lecz by być lekarzem, musi wprzód zranić; uśmierzając następnie ból, który sprawia rana, z a t r u w a j e d n o c z e ś n i e r a n ę - na tem bowiem zna się przedewszystkiem, ten czarownik i poskramiacz dzikich zwierząt, w którego okręgu wszystko, co zdrowe, z konieczności chórem się staje, wszystko, co chore - obłaskawionem. Broni on, ten dziwny pasterz, dość dobrze swego chorego stada, - broni go także przeciw niemu, przeciw tłęcej w samem stadzie nikczemności, krnąbrności, złościwości i wszystkiemu, co wspólne jest wszystkim cherlakom i chorym, walczy roztropnie, twardo i tajemnie z anarchią i coraz zaczynającym się samorozkładem w stadzie, wśród którego ustawicznie gromadzi się i gromadzi ów najniebezpieczniejszy, rozsadzający i wybuchowy materiał, *ressentiment*. Wyładowywać ten rozsadzający materiał tak, by nie rozsadził ani stada, ani pasterza, oto jego właściwa sztuka i jego najwyższa pożyteczność; gdyby się chciało wartość kapłańskiej egzystencji ująć w najkrótszą formułę, toby trzeba poprostu rzec: kapłan z m i e n i a k i e r u n e k uczucia *ressentiment*. Każdy cierpiący bowiem szuka instynktownie swego cierpienia przyczyny; dokładniej jeszcze, sprawcy, jeszcze określenie, wrażliwego na cierpienie, w i n n e g o sprawcy, - krótko, czegoś żyjącego, na czem uczucia swoje czynnie lub *in effigie* pod jakimkolwiek pozorem wyładować może: bo wyładowanie uczucia jest największą dla cierpiącego próbą ulgi, mianowicie o g ł u s z e n i a się, jego poniewolnie pożądanym narkotykiem przeciw katuszy wszelkiego rodzaju. Tu jedynie znaleźć można, wedle mego przypuszczenia, prawdziwy fizyologiczny związek przyczynowy uczucia *ressentiment*, zemsty i jej krewnych, więc w pragnieniu o g ł u s z e n i a b o l u p r z e z u c z u c i e. Szuka się go zazwyczaj, bardzo mylnie

mojem zdaniem, w odpornym przeciwdziałaniu, w ochronnym jedynie środku reakcji, w »odruchu« w razie nagłego uszkodzenia lub zagrożenia, w sposób jak to czyni jeszcze żaba bez głowy, by pozbyć się żrącego kwasu. Lecz różnica jest zasadnicza: w jednym wypadku chce się przeszkodzić dalszemu doznawaniu szkody, w drugim wypadku chce się przez silniejsze jakiegobądź rodzaju wzruszenie o g ł u s z y ć dręczący, tajemny, nieznośny ból i na chwilę przynajmniej usunąć go z świadomości, - do tego potrzeba uczucia, możliwie silnego uczucia, a do wzbudzenia go pierwszego lepszego pozoru. »Ktoś musi być winien temu, że źle się czuję«, - ten sposób wnioskowania jest właściwy wszystkim chorowitym, a to im bardziej prawdziwa przyczyna tego czucia się źle, fizyologiczna przyczyna, jest przed nimi ukryta (- może ona leżeć w chorobie nerwu sympatycznego lub w nadmiernym wydzielaniu żółci, lub w niedostatku siarkanu i fosforanu potasu we krwi, lub w ucisku na dolną część ciała, hamującym obieg krwi, lub w zwyrodnieniu jajników i tym podobnych). Wszyscy cierpiący posiadają przerażającą łatwość wynajdywania pretekstów do bolesnych uczuć; rozkoszują się już samem podejrzeniem, gmeraniem w złościach i krzywdach pozornych, szperają w wnętrznościach swej przeszłości i terażniejszości, poszukując ciemnych zagadkowych historyi, które pozwalają im opływać w dręczące domysły i upajać się trucizną własnej złośliwości-rozdzierają najstarsze rany, rozkrwawiają oddawna zagojone blizny, czynią złoczyńców z przyjaciela, żony i dziecka i z wszystkiego, co dla nich najbliższe.

»Cierpię, więc ktoś musi być winien temu« - tak myśli każda chorowita owca. Lecz pasterz, kaptan-asceta, mówi jej: Słusznie, moja owco! Ktoś musi być temu winien: lecz ty sama jesteś tym kimś, ty sama tylko jesteś winna temu - t y s a m a t y l k o z a w i n i ł a ś w z g l ę d e m s i e b i e !«... To dość śmiało, dość fałszywie. Lecz

jedno przynajmniej osiągnięto przez-to, jak rzekłem, z m i e n i o n o przez to kierunek *ressentiment*.

16.

Zgadnicie już, o co, wedle mego wyobrażenia, k u s i ł się przynajmniej życiowy instynkt lekarski przez kapłana-ascetę i do czego musiała mu służyć czasowa tyrania takich paradoksalnych i paralogicznych pojęć jak »wina«, »grzech«, »grzeszność«, »zepsucie«, »potępienie«: aby uczynić chorych do pewnego stopnia »n i e s z k o d l i w y m i, nieuleczalnych zniszczyć z pomocą nich samych, łagodnie zachorzałym nadać ścisły kierunek ku sobie samym, wsteczny kierunek ich *ressentiment* (»jednego trzeba« —) i w ten sposób w y z y s k a ć złe instynkty wszystkich cierpiących dla samokarności, samostrążowania, przewyciężenia siebie. Jak rozumie się samo przez się, przy tego rodzaju lecznictwie, jedynie lecznictwie uczuciowem, nie może wcale chodzić o l e c z e n i e chorych w znaczeniu fizyologicznem; nie można nawet twierdzić, że instynkt życiowy ma przy tem leczenie na widoku i w zamiarze. Pewne stłoczenie i organizacja chorych z jednej strony (- słowo »Kościół« jest na to najpopularniejszą nazwą), pewne tymczasowe zabezpieczenie zdrowiej udanych, pełniej odłanych z drugiej, wykopanie przez to p r z e p a ś c i między zdrowiem a chorobą - to było na długi czas wszystko! A było to wiele, to było b a r d z o w i e l e!... [Wychodzę w tej rozprawie, jak to widać, z założenia, którego ze względu na czytelników, jakich mi trzeba, nie muszę dopiero uzasadniać: że »grzeszność« w człowieku nie jest zgoła stanem rzeczy, raczej tylko interpretacją stanu rzeczy, to jest fizyologicznego rozstroju, widzianego w perspektywie moralno-religijnej, która nas już nie obowiązuje. - Że się ktoś »winnym«, »grzesznym« c z u j e, to jeszcze nie dowód, że czuje się nim słusznie; tak samo nie jest się jeszcze zdrowym jedynie dlatego, że się ktoś zdrowym czuje. Przypomnijmy sobie jeno sławne procesy czarownic;

najbystrzejsi i najbardziej ludzcy sędziowie nie wątpili wówczas, że ma się w nich do czynienia z winą; »czarownice« s a m e n i e w ą t p i ł y o t e m, - a mimo to nie było tam winy. - By założenie to w rozszerzonej wyrazić formie, to sam »ból duszny« nie jest według mnie wogóle stanem rzeczy, jeno wytłumaczeniem (przyczynowem wytłumaczeniem) stanów rzeczy, które się dotąd nie dały ściśle sformułować: przeto czegoś, co dotychczas nie jest uchwytnie i naukowo w związek ujęte, właściwie tylko szumnem słowem, zamiast skromnego znaku pytania. Jeśli ktoś nie może się z »dusznem« cierpieniemc uporać, to przyczyna tego, mówiąc z gruba, nie leży w jego »duszy«, prawdopodobniej już w jego brzuchu (mówiąc z gruba, jak się rzekło: co jeszcze nie zawiera wcale życzenia, żeby nas z gruba słuchano, z gruba rozumiano...) Silny, szczęśliwie udany człowiek trawi to, co przeżywa {społem z czynami, złoczynami), jak trawi swój obiad, nawet jeśli twarde połyka kęsy. Jeśli nie może uporać się z tem, co przeżywa, to ten rodzaj niestrawności jest tak samo fizyologiczny, jak każdy inny - i wielokrotnie w istocie tylko skutkiem owego innego. - Przy takim ujęciu rzeczy można być, mówiąc między nami, zawsze jeszcze najsurowszym przeciwnikiem wszelkiego materjalizmu...]

17.

Czy jednak ten kapłan-asceta jest właściwie l e k a r z e m? - Pojęliśmy już, że zaledwie wolno go lekarzem nazywać, chociaż on sam chętnie uważa się za »zbawiciela«, każe czcić w sobie »zbawiciela«. Zwalcza on tylko samo cierpienie, tylko przykre uczucie cierpiącego, n i e zaś jego przyczynę, n i e właściwą chorobę, - to stanowi nasz najbardziej zasadniczy zarzut przeciw lecznictwu kapłańskiemu. Jeśli jednak popatrzymy z perspektywy, którą zna i posiada sam tylko kapłan, to nie będziemy się mogli pościć z podziwu, czego on przy tej pomocy nie widział, czego nie szukał i czego nie znalazł. W ł a g o d z e n i u cierpienia, w »pociechach«

wszelkiego rodzaju, - oto w czym okazuje się jego genialność; jak wynalazcze zrozumiał swoje zadanie pocieszyciela, jak bez skrupułu i śmiało wybrał środki stosowne! Szczególnie możnaby chrześcijaństwo nazwać wielką skarbnicą najprzemysłniejszych środków pocieszy cielskich; tyle rzeźwiącego, kojącego, narkotyzującego w niem nagromadzono, odważono się w tym celu na tyle najniebezpieczniejszych i najzuchwalszych rzeczy: tak przebiegle, z takim wyrafinowaniem, południowem wyrafinowaniem, odgadniono zwłaszcza uczucia podniecające, pozwalające chwilowo przynajmniej przewyciężyć to głębokie przygnębienie, to ołowiane znużenie, ten czarny smutek fizyologicznie zahamowanego człowieka. Albowiem, ogólnie mówiąc: we wszystkich wielkich religiach chodziło głównie o zwalczenie pewnego epidemicznego znużenia i ociążałości. Można z góry przyjąć jako prawdopodobne, że co pewien czas, na pewnych miejscach ziemi prawie koniecznie opanowywać musi szerokie tłumy u c z u c i e f i z y o l o g i c z n e g o z a h a m o w a n i a, które jednak, z braku fizyologicznej wiedzy, nie uświadamia się jako takie i wskutek tego »przyczyny« jego i zleczenia szuka się i próbuje też tylko na drodze psychologiczno-moralnej (- taka jest mianowicie moja najogólniejsza formuła tego, co się zwie pospolicie »r e l i g i ą«), Takie uczucie zahamowania może być najrozmaitszego pochodzenia: następstwem krzyżowania zbyt obcych sobie ras (lub stanów - stany wyrażają zawsze także różnice pochodzenia i rasy: europejski »*Weltschmerz*«, »pesymizm« dziewiętnastego stulecia, jest głównie wynikiem nedorzecznie nagłego pomieszania stanów); lub może być wywołane błędnie skierowaną emigracją, naprzykład gdy rasa pewna znajdzie się w klimacie, do którego jej siła przystosowawcza nie wystarcza (co się zdarzyło z Indami w Indyach); lub może być skutkiem starości i znużenia rasy (pesymizm paryski od r. 1850); lub skutkiem fałszywej diety (alkoholizm Średniowiecza; nedorzeczność jarstwa, które

naturalnie ma za sobą powagę młodego szlachcica Krzysztofa z Szekspira); lub skutkiem zepsucia krwi, malaryi, syfilisu i tym podobnych przyczyn (niemieckie przygnębienie po wojnie trzydziestoletniej, która połowę Niemiec zaraziła brzydkimi chorobami i przygotowała tem pole do niemieckiego słuźalstwa, niemieckiej małoduszności). W takim wypadku przedsiębierze się każdym razem w wielkim stylu walkę z u c z u c i e m z n i e c h ę c e n i a; przejrzyjmy pokrótce jej najgłówniejsze praktyki i formy. (Pomijam tu, jak słuszna, właściwą walkę f i l o z o f ó w przeciw uczuciu zniechęcenia, walkę, która zwykła istnieć zawsze równocześnie - jest ona dość zajmująca, lecz zbyt niedorzeczna, zbyt z praktycznego punktu widzenia obojętna, zbyt pajęczynowa i pokątna, gdy się ma niby wykazać, że w bólu tkwi błąd, w tem naiwnem przypuszczeniu, że ból zniknąć musi, gdy się ten błąd pozna - aliści nie myśli on zniknąć...) P o p i e r w s z e zwalcza się owo zniechęcenie środkami, które wogóle zniżają uczucie życia do najniższego punktu. Gdzie tylko to możliwe nie dopuszczają wogóle żadnego chcenia, żadnego już życzenia; unikać wszystkiego, co wytwarza uczucie, co wytwarza »krew« (nie spożywać soli: higiena fakira); nie kochać; nie nienawidzić, być obojętnym; nie mścić się; nie zbogacać się; nie pracować; żebrać; o ile można nie znać wcale kobiet, lub jak tylko można najmniej kobiet; pod względem duchowym zasada Pascala »il faut s'abetir.. Rezultat, psychologiczno-moralnie mówiąc, »wyzbycie się siebie«, »uświęcenie« fizyologicznie się wyrażając, »zahipnotyzowanie« - usiłowanie zdobycia dla człowieka w przybliżeniu czegoś takiego, czem dla niektórych rodzajów zwierząt s e n z i m o w y, s e n l e t n i dla wielu roślin gorącego klimatu, *minimum* zużycia i przemiany materii, przy którym życie właśnie jeszcze tli, nie udzielając się właściwie świadomości. Do tego celu zużyto zdumiewającą ilość energii ludzkiej - czyżby daremnie?... Że tacy sportsmeni »uświęcenia«, w których wszystkie czasy, prawie

wszystkie obfitują narody, znaleźli w rzeczy samej prawdziwe wyzwolenie od tego, co zwalczają surowym *trainingiem*, o tem wątpić wcale nie można, - wyzbyli się rzeczywiście w niezliczonych wypadkach owego głębokiego fizyologicznego przygnębienia z pomocą swego systemu środków hipnotycznych: dlatego też metodyka ich zalicza się do najpowszechniejszych faktów etnologicznych. Nie wolno też takiego zamiaru wygłodzenia cielesności i żądy już samego w sobie zaliczać między symptomy obłądu (jak to czynić lubi pewien niezgrabny rodzaj pozerających roastbeefy »wolnych duchów« i szlachciców Krzysztofów). Tem pewniejsze jest, że prowadzi on, prowadzić może do wszelkich duchowych zaburzeń, do »świateł wewnętrznych« naprzykład, jak u Hesychastów z góry Athos, do halucynacji dźwiękowych i postaciowych, do rozkosznych wezbrań i zachwyków zmysłowych (dzieje świętej Teresy). Tłumaczenie, które stanom tego rodzaju nadawali ludzie nimi nawiedzeni, jest zawsze skrajnie marzycielsko-falszywe, to rozumie się samo przez się: dosłuchajcie się tylko tonu najprzeświadczeńszej wdzięczności, która rozdzwięka właśnie już w w o l i takiego rodzaju interpretacji. Najwyższy stan, samo w y z w o l e n i e, owo osiągnięte ostatecznie ogólne zahipnotyzowanie i cisza są dla nich zawsze tajemnicą samą w sobie, do której wyrażenia nie wystarczają najwyższe nawet symbole, dojściem i powrotem do sedna rzeczy, uwolnieniem od wszelkiej złudy, »wiedzą«, »prawdą« i »bytem«, wyzbyciem się wszelkiego celu, wszelkiego życzenia, wszelkiego działania, jakimś »poza dobrem i złem«. »Dobro i zło - mówi buddysta, - jedno i drugie, jest pętem; ponad jednym i drugim jest pan doskonały«; »uczynione i nieuczynione - mówi wyznawca Vedanty - nie sprawia mu żadnego bólu; jako mędrzec otrząsa z siebie zło i dobro; czyn żaden nie zakłóca jego królestwa; nad dobro i zło wzniósł się, nad jedno i drugie«; - więc ogólno-indyjskie ujęcie rzeczy, zarówno bramińskie jak buddyjskie. (Ani indyjski, ani

chrześcijański sposób myślenia nie uważa tego wyzwolenia za osiągnięciem przez cnotę, moralną poprawę, jakkolwiek wysoko cenią hipnotyzującą wartość cnoty; wiemy o tym – odpowiada to zresztą po prostu stanowi rzeczy. To, że w tym wypadku nie sprzeniewierzono się prawdzie, uważać można za najlepszą część realizmu trzech największych religii, tak zresztą gruntownie przemoralnionych. »Dla wiedzącego nie masz obowiązku«.., »Przez dokładanie cnot jedna do drugiej nie nastąpi zbawienie: bo polega ono na jedności z pierwiastkiem *braman*, niezdolnym do żadnego nabytku doskonałości; a równie mało przez odrzucanie błędów: bo *braman*, z którym tworzyć jedność stanowi zbawienie, jest wiecznie czyste» – (te miejsca z komentarza ęankary cytuję wedle największego prawdziwego znawcy filozofii indyjskiej w Europie, przyjaciela mego Pawła Deussena). Chcemy więc w czci chować »zbawienie« w wielkich religiach; natomiast trudno nam nieco trwać poważnie przy ocenie, której doznaje już głębokość w tych przemęczonych życiem, i zbyt znużonych, by nawet śnić, mianowicie głęboki sen, pojęty już jako wsiąknięcie w *braman*, jako osiągnięcie *ta unio mystica z bogiem*. »A kiedy już zaśnie zupełnie – mówi o tym najstarsze i najczcigodniejsze »pismo« – i zupełnie w spokoju się pogrąży, tak że już żadnych sennych zjaw nie widzi, wtedy, o drogi! zjednoczy się z bytem, wejdzie w samego siebie, – przez jaźń poznawczą wchłonięty, nie będzie miał żadnej już świadomości tego, co zewnątrz jest lub wewnątrz. Mostu tego nie przekracza dzień, ani noc, ani wiek, ani śmierć, ani cierpienie, ni dzieło dobre, ni dzieło złe. »W głębokim śnie – mówią tak samo wierni tej najgłębszej z trzech wielkich religii – wydobywa się dusza z ciała, wstępuje w najwyższą światłość i przez to w własnej swej jawi się postaci: wtedy jest samym duchem najwyższym, który buja, żartując i igrając, i ciesząc się, już to kobietami, lub wozami, lub przyjaciółmi, nie myśląc już wcale o tym przyczepku ciała, do którego *prana* (dech żywota) przyprzeżon jest,

jak zwierz pociągowy do wozu«. Mimo to musimy i tutaj, jak wtedy, gdy mowa o »zbawieniu«, mieć w pamięci, że w gruncie rzeczy, chociaż zawsze w przepychu wschodniej przesady, wyraża to tylko tę samą ocenę, co u jasnego, chłodnego, grecko-chłodnego, lecz cierpiącego Epikura: hipnotyczne poczucie nicości, spokój najgłębszego snu, krótko, b e z b o l e s n o ś ć. – To może uchodzić dla cierpiących i do dna skwaszonych już za najwyższe dobro, za wartość wartości, oni m u s z ą to oceniać pozytywnie, odczuwać jako pozytywność samą. (Wedle tej samej logiki uczucia zwie się nicość we wszystkich religiach pesymistycznych b o g i e m).

18.

Daleko częściej, niż takiego ogólnego stłumienia wrażliwości, zdolności cierpienia, które każe już przypuszczać rzadziej spotykane siły, przede wszystkim odwagę, pogardę opinii, »stoicyzm intelektualny«, próbuje się przeciw stanom zgnębienia innego treningu, który jest w każdym razie łatwiejszy: m a c h i n a l n e j c z y n n o ś c i. Że ułatwia ona w znacznym stopniu cierpiące istnienie, to nie ulega żadnej wątpliwości: nazywa się dzisiaj ten fakt, trochę nieuczciwie, »błogosławieństwem pracy«. Ulga polega na tem, że uwaga cierpiącego zostaje gruntownie odwrócona od cierpienia, – że ustawiczne działanie i ciągle tylko działanie udziela się świadomości, skutkiem czego mało pozostaje czasu na cierpienie: c i a s n a jest bowiem ta komora ludzkiej świadomości! Jakże gruntownie, jak przebiegle umiał kapłan-asceta w walce z cierpieniem zużytkować tę działalność machinalną i to, co się z nią wiąże, to jest bezwzględną prawidłowość, punktualne bezmyślne posłuszeństwo, jednostajny raz na zawsze tryb życia, wypełnienie czasu, pewne przyzwolenie, ba, pewne wprawianie się do »nieosobowości«, do zapomnienia samego siebie, do »*incuria sui*«. Właśnie gdy miał do czynienia z cierpiącymi niższych stanów, z niewolnikami roboczymi lub więźniami (lub z kobietami, które przecież po największej części są jednym

i drugim zarówno, niewolnikiem roboczym i więźniem), nie potrzebował niczego więcej, tylko małej sztuki przemieniania nazw i przechrzczenia, aby w znieawidzonych rzeczach widzieli odtąd dobrodziejstwo, względne szczęście: - w każdym razie n i e kapłani wynaleźli niezadowolenie niewolników ze swego losu. - Jeszcze bardziej cenionym środkiem w walce ze zgnębieniem jest zalecenie d r o b n e j r a d o ś c i, łatwo dostępnej i dającej się ująć w prawo; posługują się tem lekarstwem często w połączeniu z powyż omówionem. Najczęstszą formą, w której zaleca się radość, jako środek leczniczy, jest radość s p r a w i a n i a radości (jako dobroczynność, obdarowywanie, niesienie ulgi, pomaganie, zachęcanie, pocieszanie, chwalenie, odznaczanie); zalecając »miłość bliźniego«, zaleca kapłan-asceta w gruncie, aczkolwiek w najprzezorniejszej dawce, wzbudzenie najsilniejszego, potwierdzającego życie popędu, w o l i m o c y. Szczęście »najmniejszego poczucia wyższości« które wszelka dobroczynność, pożyteczność, pomaganie, odznaczanie przynoszą z sobą, jest najobfitszym środkiem leczniczym, jakim posługiwać się zwykli zahamowani fizjologicznie, pod warunkiem, że dobrze są opatrzeni: w przeciwnym razie sprawiają sobie wzajemnie ból, naturalnie z posłuszeństwa dla tego samego zasadniczego instynktu. Poszukując początków chrześcijaństwa w świecie rzymskim, znajdujemy stowarzyszenia wzajemnej wspomogi, stowarzyszenia biednych, stowarzyszenia chorych, stowarzyszenia pogrzebowe, wyrosłe na najniższym gruncie ówczesnego społeczeństwa, stowarzyszenia, w których świadomie pielęgnowano ów środek leczniczy przeciw zgnębieniu, drobną radość wzajemnej dobroczynności - może było to wówczas czemś nowem, właściwym odkryciem? W wywołanej w ten sposób »woli wzajemności«, tworzenia stada, »gromady«, »*caenaculum*« musi znowu owa wzniecona przez to, choćby w najmniejszym stopniu, wola mocy dojść do nowego i o wiele

pełniejszego wybuchu: u t w o r z e n i e s t a d a jest w walce ze zgnębieniem istotnym krokiem naprzód i zwycięstwem. Ze wzrastaniem gromady potężnieje i dla jednostki nowy interes, który ją dość często wynosi ponad to, co w zniechęceniu jej jest najosobistszem, ponad odrazę ku sobie (*»despectio sui«* Guelincza). Wszyscy chorzy, chorowici, dążą instynktownie, z pragnienia otrząśnięcia się z głuchej przykrości i uczucia słabości, do zorganizowania się w stado: kapłan-asceta odgaduje ten instynkt i popiera go; jeśli istnieje gdzie stado, to wywołał je instynkt słabości, a zorganizowała roztropność kapłańska. Bo nie należy zapominać, że silni dążą z taką samą naturalną koniecznością od siebie, jak słabi ku sobie; jeśli pierwsi łączą się w związek, to dzieje się to tylko w zamiarze agresywnego wspólnego działania i wspólnego zadowolenia swej woli mocy, z wielkim oporem osobniczego sumienia; ostatni natomiast skupiają się właśnie z r a d o ś c i ą z powodu tego skupienia się, - ich instynkt czuje się przy tem równie zadowolony, jak instynkt urodzonych »panów« (to znaczy samotniczej drapieżnej *species* człowieka) czuje się w głębi organizacją podrażniony i zaniepokojony. Na dnie każdej oligarchii kryje się - całe dzieje uczą tego - zawsze t y r a ń s k i popęd; każda oligarchia drży ustawicznie z powodu wytężenia, którego potrzebuje wśród niej każda jednostka, by nie przestać nad tym popędem panować. (Tak było na przykład w G r e c y i: Platon wykazuje to w stu miejscach, Platon, który znał swoich - i samego siebie...)

19.

Środki kapłana-ascenty, któreśmy dotąd poznali - ogólne przytłumienie poczucia życia, machinalna czynność, drobna radość, przedewszystkiem radość, płynąca z miłości bliźniego, organizacja trzody, obudzenie gromadnego uczucia mocy, skutkiem czego niezadowolenie jednostki z siebie samej przygłusza się jej uciechą z powodu rozwoju gromady - oto, mierząc miarą nowoczesną, jego n

i e w i n n e środki w walce z uczuciem przykrości: zwróćmy się teraz do bardziej zajmujących, do »winnych«. W nich wszystkich chodzi o jedno: o jakąkolwiek w y b u j a ł o ś ć u c z u c i a, - używaną jako najskuteczniejszy środek ogłuszenia, przeciw tłumionej obezwładniającej długiej bolesności: skutkiem czego wynalazczość kapłańska okazała się niewyczerpaną, wymyślając to jedno pytanie: »p r z e z c o osiągnąć można wybujałość uczucia?«... Brzmi to twardo: jasnym jest, że brzmiałoby milej i może lepiej wpadało w uszy, gdybym powiedział: »kapłan-asceta korzystał zawsze z z a p a ł u, który tkwi we wszystkich silnych uczuciach«. Lecz po co pieścić zniewieściałe uszy naszych nowoczesnych przeczuleńców? Po co ustępować z n a s z e j s t r o n y choćby na krok ich świętoszkostwu słów? Dla nas psychologów byłoby to już świętoszkostwem w c z y n i e, pomijając, że wzbudzałoby w nas wstręt. Bo jeśli w czym, to w tem tkwi d o b r y s m a k psychologa (- inni mogą rzec jego uczciwość), że przeciwdziała haniebnie p r z e m o r a l n i o n e m u sposobowi mówienia, którym zamulone jest. właśnie całe nowoczesne sądzenie człowieka i rzeczy. Bo nie należy się łądzić co do tego, że najwłaściwszą cechą nowoczesnych dusz, nowoczesnych książek jest nie kłamstwo, lecz wcielona n i e w i n n o ś ć w kłamliwości moralnej. Mus odkrywania tej »niewinności« ciągle na nowo tworzy może najwstrętniejszą część naszej pracy, wśród całej tej niebezpiecznej w sobie roboty, której psycholog dziś podjąć się musi; jest to jedno z n a s z y c h wielkich niebezpieczeństw, - jest to droga, która może n a s właśnie do wielkiego wiedzie wstrętu... Nie mam wątpliwości pod tym względem, d o c z e g o jedynie służyć będą, służyć potomności mogą książki nowoczesne, wogóle w s z y s t k o; co nowoczesne (przypuszczając, że mają trwałość, czego oczywiście nie trzeba się obawiać, a również przypuszczając, że będzie kiedyś jakaś potomność o surowszym, twardszym, z d r o w s z y m smaku): - służyć będą jako środki wymiotowe, - a to dzięki

swemu moralnemu przesłodzeniu i fałszowi, dzięki swemu najwnętrznieszemu feminizmowi, który się chętnie »idealizmem« nazywa, i w każdym razie za idealizm się uważa. Nasi dzisiejsi wykształceni, nasi »dobrzy« nie kłamią - to prawda; lecz to jeszcze n i e wystarcza, by ich czcić! Właściwe kłamstwo, szczere, rezolutne, »uczciwe« kłamstwo (o którego wartości posłuchajcie tylko Platona), byłoby dla nich czemś o wiele za surowem, za silnem; czemś, coby wymagało od nich, czego od nich wymagać nie w o l n o, otworzenia oczu na siebie samych, umiejętności rozróżniania w sobie samych »prawdy« od »fałszu«. Im przystoi jedynie k ł a m s t w o n i e u c z c i w e; wszyscy, którzy dziś czują się »dobrymi ludźmi«, są zupełnie niezdolni odnosić się do jakiegokolwiek rzeczy inaczej, niż n i e u c z c i w i e, o b ł u d n i e, bezdennie obłudnie, lecz niewinnie obłudnie, serdecznie obłudnie, modrooko obłudnie, cnotliwie obłudnie. Ci »dobrzy ludzie« są dziś wszyscy razem aż do gruntu i dna przemoralnieni i w stosunku do uczciwości zhańbieni i ześwinieni po całą wieczność: któżby z nich zniósł jeszcze p r a w d ę »ponad człowiekiem«!... Lub mówiąc uchwytniej: ktoby z nich zniósł prawdziwą biografię!..., Kilka przykładów: Lord Syron skreślił najosobistsze o sobie wyznania, lecz Tomasz Moore był »za dobry« na to: spalił papiery swego przyjaciela. To samo uczynić miał dr. Gwinner, wykonawca ostatniej woli Schopenhauera: bo i Schopenhauer skreślił coś o sobie, amóże nawet na siebie (».....«). Dzielny Amerykanin Thayer, biograf Beethovena, stanął nagle w ciągu swej pracy: doszedłszy do pewnego punktu tego czcigodnego i naiwnego żywota, nie mógł wytrzymać go dłużej... Morał: jakieżby roztropny człowiek napisał dziś jeszcze sumienne o sobie słowo? Musiałby chyba należeć do zakonu świętej śmiałości szalu. Obiecują nam autobiografie Ryszarda Wagnera: któż wątpi, że nie będzie to r o z t r o p n a autobiografia... Przypomnijmy sobie jeszcze komiczne przerażenie, które wzniecił w Niemczech katolicki

kapłan Janssen swym obrazem niemieckiego ruchu reformacyjnego, obrazem, który nad wszelkie pojęcie wypadł niedołącznie i naiwnie; cóżby dopiero poczęto, gdyby nam ktoś był ruch ten i n a c z e j opowiedział, gdyby nam raz jakiś prawdziwy psycholog prawdziwego Lutra przedstawił, już nie z moralną prostodusznością wiejskiego księdza, już nie z słodką i pełną względów wstydlivością protestanckiego historyka, lecz niejako z nieustraszonością Taine'a, z głębi s i ł y d u s z y, a nie ze stanowiska rozropnej pobłażliwości dla siły?... (Niemcy, mówiąc nawiasem, wytworzyli wcale pięknie klasyczny typ tej ostatniej, - mogą to sobie poczytywać za własność, za wyłączną własność: mianowicie Leopolda Rankego, tego urodzonego klasycznego adwokata wszelkiej *causa fortior*, tego najrozropniejszego z wszystkich mędrców »rzeczowych«.)

20.

Lecz zrozumiecie mnie już zapewne: - biorąc wszystko pod uwagę, dość powodów, nieprawdaż, że my psychologowie nie możemy dziś wyzbyć się pewnej nieufności w z g l ę d e m s i e b i e s a m y c h?... Prawdopodobnie i my jeszcze jesteśmy »za dobrzy« do naszego rzemiosła, prawdopodobnie jesteśmy i my jeszcze ofiarami, pastwą, chorymi tego przemoralnionego smaku czasu, chociażbyśmy się też czuli jego gardzicielami, - prawdopodobnie zaraża on jeszcze i nas. Przed czymże przecie przestrzegał ów dyplomata, mówiąc do siebie równych? »Nie ufajmy przedewszystkiem, moi panowie, swoim pierwszym drgnieniom, rzekł, są o n e p r a w i e z a w s z e d o b r e«... Takby winien mówić dziś każdy psycholog do swych równych... I oto powracamy do naszego problemu, który w samej rzeczy żąda od nas pewnej surowości, szczególnie pewnej nieufności względem »pierwszych drgnień«. I d e a ł a s c e t y c z n y w s ł u ż b i e z a m i e r z o n e j w y b u j a ł o ś c i u c z u c i a: - kto przypomina sobie poprzednią rozprawę, przeczuje już w te kilka słów wtłoczoną zasadniczą treść tego, co mam w dalszym ciągu przedstawić. By

duszę wyważyć raz z jej wszystkich spoidel, zanurzyć ją w przestrach, mrozy, żary i zachwyty w ten sposób, by jak piorunem wyzbyła się wszystkich małości i małostek uczucia przykrości, przygłuszenia, markotnego rozstrojenia: jakież drogi wiodą do t e g o celu? A które z nich najpewniej?... W gruncie rzeczy wszystkie wielkie uczucia, gniew, strach, rozkosz, zemsta, nadzieja, tryumf, zwątpienie, okrucieństwo mają moc po temu, pod warunkiem, jeśli wyładują się nagle; i rzeczywiście kapłan-asceta wziął w służbę swą bez skrupułu c a ł ą sforę psów dzikich w człowieku i spuszczał to tego, to owego zawsze w tym samym celu, by zbudzić człowieka z powolnego smutku, jego ból głuchy, jego ociągłą nędzę na pewien czas przynajmniej zmusić do ucieczki, zawsze też pod osłoną religijnej interpretacji i usprawiedliwienia«. Każdą tego rodzaju wybujałość uczucia trzeba potem o p ł a c i ć, to rozumie się samo przez się - czyni ona chorych jeszcze bardziej chorymi -: i dlatego nie jest ten rodzaj leczenia bólu, mierząc miarą nowoczesną, rodzajem »niewinnym«. Trzeba jednak, ponieważ wymaga tego słuszość, tembardziej kłaść na to nacisk, że używało się go »w dobrej wierze«, że kapłan asceta zalecał go, wierząc najgłębiej w jego użyteczność, ba, niezbędność, - i dość często łamiąc się sam pod ciężarem niedoli, którą stworzył; należy też zauważyć, że gwałtowne fizyologiczne odwety takich ekscesów, może nawet duchowe zaburzenia, w gruncie rzeczy nie sprzeciwiają się właściwie ogólnemu celowi tego rodzaju leczenia, które, jak wykazano uprzednio, dążyło n i e do zleczenia chorób, lecz do zwalczania przykrego uczucia zgnębienia, do złagodzenia go, ogłuszenia. W t e m znaczeniu osiągnięto ten cel. Mistrzowska sztuczka, na którą pozwolił sobie kapłan asceta, by w duszy ludzkiej rozdzwonić wszelkiego rodzaju rozdzierającą i zachwytną muzykę, dopięta została - każdy to wie - tem, iż posługiwał się on p o c z u c i e m w i n y. Pochodzenie tego poczucia winy zaznaczyła pokrótce poprzednia rozprawa - jako fragment

psychologii zwierzęcej, nic więcej: poczucie winy ukazało nam się tam niejako w surowym swym stanie. Dopiero pod ręką kapłana, tego prawdziwego sztukmistrza w rzeczach, tyjących się poczucia winy, nabrało ono kształtu - ach, jakiego kształtu! »Grzech« - bo tak brzmi kapłańska przeróbka zwierzęcego »nieczystego sumienia« (wstecz zwróconego okrucieństwa) - był dotąd największym zdarzeniem w dziejach chorej duszy: w nim mamy najniebezpieczniejsze i najfatalniejsze arcydzieło interpretacji religijnej. Człowiek, cierpiący na samego siebie, mniejsza jak, w każdym razie fizyologicznie, niejako jak zwierzę, które zamknięto w klatce, nie wiadomo dlaczego, po co? żadne poznanie przyczyn - przyczyny sprawiają ulgę -, żadne też środków i narkotyków, naradza się ostatecznie z kimś, komu nietajne nawet rzeczy ukryte - i oto patrzcie! otrzymuje wskazówkę, otrzymuje od swego czarodzieja, od kapłana-ascety, p i e r w s z ą wskazówkę co do »przyczyny« swego cierpienia: aby jej szukał w s o b i e, w w i n i e, w jakimś urywku przeszłości, aby uważał samo cierpienie swoje jako s t a n k a r y... Nieszczęśliwiec ten usłyszał, zrozumiał: teraz będzie jak kura, wkoło której zakreślono koło. Nie wydostanie się już z tego zakreślonego okręgu. Z chorego zrobiono »grzesznika«. I teraz na całe stulecia nie będzie się można pozbyć widoku tego nowego chorego, »grzesznika«— czy się go kiedy pozbędziemy? - gdzie tylko się spojrzy, wszędzie wzrok hipnotyczny grzesznika, który zwraca się zawsze w jednym kierunku (w kierunku »winy«, jako j e d y n e j przyczyny cierpienia). Wszędzie nieczyste sumienie, ten »zwierz okropny«, jak mówi Luter. Wszędzie przeszłość przeżuwana, czyn przekreślony, »złe oko«, skierowane na każdą czynność, wszędzie uczyniona treścią życia c h ę ć złego rozumienia cierpienia, przemienianie go w uczucia winy, obawy, kary; wszędzie bicz, włosiennica, ciało głodem morzone, skruszenie; wszędzie wplatanie się grzesznika w okrutne koło niespokojnego, chorobliwie łakomego

sumienia; wszędzie niema udręka, ostateczna trwoga, agonia katowanego serca, kurcze nieznanego szczęścia, wzywianie »zbawienia«! Rzeczywiście, p r z e z w y c i ę ż o n o gruntownie tym systemem procedur dawne zgnębienie, ociążałość i znużenie, życie stało się znowu b a r d z o zajmujące: czujny, wiecznie czujny, po nocach bezsenny, płonący, zwęglony, wyczerpany, a jednak nie znużony – tak wyglądał człowiek, »grzesznik«, wtajemniczony w t e misterya. Ten stary wielki czarodziej w walce z uczuciem zniechęcenia, kapłan-asceta, zwyciężył oczywiście, j e g o królestwo nadeszło: już nie skarżono się na ból, ł a k n i ę t o bólu. »W i ę c e j bolu! więcej bolu!« tak wołała przez wieki żądza jego uczni i wtajemniczonych. Każda wybujałość uczucia, która bolała, wszystko co łamało, obalało, miażdżyło, w osłupienie wprawiało, zachwycało, tajemnica katowni, wynalazczość piekła nawet – wszystko teraz zostało odkryte, odgadnione, wyzyskane, wszystko poszło na usługi czarodzieja, wszystko posłużyło teraz zwycięstwu jego ideału, ideału ascetycznego... »Królestwo moje nie jest z t e g o świata« – powtarzał on wciąż potem jak przedtem. Czy rzeczywiście miał jeszcze prawo tak mówić?... Goethe twierdził, że istnieje tylko trzydzieści sześć sytuacji tragicznych: możnaby się już z tego domyślić, gdyby się skądinąd już nie wiedziało, że Goethe n i e był ascetycznym kapłanem. Ten – zna więcej...

21.

Na kapłańskie leczenie tego rodzaju, »grzesznego« rodzaju, szkoda każdego słowa krytyki. Że taka wybujałość uczucia, jaką w tym wypadku zalecać zwykł kapłan-asceta swoim chorym (rozumie się samo przez się, że pod najświętszemi nazwami, jak również przepojoną świętością celu), jakiemuś choremu naprawdę wyjść na korzyść mogła, któżby chciał bronić tego rodzaju twierdzenia? Trzebaby przynajmniej porozumieć się co do słowa »korzyść«. Jeśli się chce tem wyrazić, że taki system procedur p o l e p s z y ł

człowieka, to nie przeczę: dodam tylko, że polepszony znaczy według mnie to samo, co »obłaskawiony«, »osłabiony«, »pozbawiony odwagi«, »wyrafinowany«, »przeczulony«, »obrane z męskości« (więc prawie tyle, co u s z k o d z o n y). Jeśli jednak głównie chodzi o chorych, skwaszonych, przygnębionych, to taki system, przypuściwszy nawet, że czyni chorego »lepszym« czyni go w każdym razie b a r d z i e j c h o r y m; zapytajcie tylko lekarzy chorób umysłowych, co sprowadza zawsze z sobą metodyczne stosowanie udęczeń pokutnych, skruchy i kurczów zbawienia. Tak samo badajcie dzieje! Wszędzie, gdzie kapłanowi-ascecie udało się stosować do chorych to postępowanie, pogłębiała i rozszerzała się zawsze chorowitość z zatrważającą szybkością. Cóż było zawsze »powodzeniem«? Rozbity system nerwowy w dodatku do tego, co już chore było; a to w największym i najmniejszym zakresie, w jednostce i tłumie. W orszaku pokutnego i zbawczego *trainingu* znajdujemy epidemie epileptyczne, największe, jakie znają dzieje, jak naprzykład taniec św. Wita i św. Jana w średniowieczu; jako inną formę jego następstwa znajdujemy straszliwe bezwładny i trwałe zgnębienia, w które w danym razie temperament pewnego ludu czy miasta (Genewa, Bazylea) popada raz na zawsze jako w swoje przeciwieństwo; - do tego rodzaju zjawisk należy też histerya czarownic, coś podobnego do somnambulizmu (ośm wielkich epidemicznych wybuchów między r. 1564 a 1605 tylko) -; znajdziemy w jego orszaku owe żądne śmierci masowe delirya, których przerażający krzyk »*evvia, la morte!*« słyszała cała Europa, krzyk przerywany już to lubieżnemi, już to szalejącemi zniszczeniem idyosynkrazyami, jak i dziś jeszcze zauważyć można podobną przemienność uczuć, z podobnymi stanami pośrednimi i przełamaniami, wszędzie, w każdym wypadku, gdzie nauka ascetyczna o grzechu osiąga znów wielkie powodzenie. (Religijna newroza o b j a w i a s i ę jako forma »złej istoty«: to nie ulega

wątpliwości. Czem zaś jest? *Quaeritur.*) Ideał ascetyczny, biorąc ogółem, i jego wzniosłe moralny kult, to najbardziej duchowe, najśmielsze i najniebezpieczniejsze usystematyzowanie wszystkich środków do wybujałości uczucia pod osłoną zamiarów świętobliwych, zapisało się straszliwie i niezapomniane w całych dziejach człowieczych; i niestety n i e t y l k o w dziejach... Nie umiałbym wskazać nic innego, co bardziej niszczycielsko wpłynęło na z d r o w i e i rasową tężyznę, zwłaszcza Europejczyków, niż ten ideał; można go bez przesady nazwać w ł a ś c i w ą f a t a l n o ś c i ą w dziejach zdrowia Europejczyka. Co najwyżej możnaby z wpływem jego postawić jeszcze na równi wpływ specyficznie germański: mam na myśli alkoholiczne zatrucie Europy, które szło dotąd ściśle krok w krok z polityczną i rasową przewagą Germanów (- gdzie krew swą wszczepiają, tam wszczepiają i swoje występki). - Jako trzeci w tym rządzie wymieniaćby należało syfilis, - *magno sed proximo intervallo.*

22.

Kapłan-asceta popsuł zdrowie duchowe, gdzie tylko doszedł do panowania, przeto popsuł też s m a k *in artibus et litteris*, - psuje go jeszcze ciągle. »Przeto?« - Spodziewam się, że po prostu zgodzicie się na to moje przeto; przynajmniej nie chce mi się go dopiero dowodzić. Jedyna wskazówka: tyczy się ona podstawowej książki literatury chrześcijańskiej, jej właściwego modelu, jej »księgi samej w sobie«. Jeszcze za grecko-rzymskiej świetności, która była też świetnością ksiąg, w obliczu niezmarniającego i nierozbitego jeszcze starożytnego piśmiennictwa, za czasów, gdy można było czytać jeszcze kilka ksiązek, za których posiadanie wymieniliby się dziś połowę literatur, odważyła się ograniczoność i próżność chrześcijańskich agitatorów - zwą ich ojcami kościoła - zawyrokować: »i my mamy swoją literaturę klasyczną n i e p o t r z e b u j e m y G r e k ó w« -, i wskazywano przytem dumnie na księgi

legend, listy apostołów i traktaciki apologetyczne, mniej więcej tak, jak dziś angielska »armia zbawienia« z pokrewną literaturą bój wiedzy przeciw Szekspirowi i innym »poganom«. Nie lubię «Nowego Testamentu», zgadujecie to zapewne; niepokoi mnie nieledwo, że w stosunku do tego najbardziej cenionego, najbardziej przecenionego dzieła jestem z swym smakiem tak bardzo odosobniony (smak dwu tysięcy lat opowiada się p r z e c i w k o mnie): lecz cóż to pomoże! »Tu stoję ja, nie mogę inaczej«, – i mam odwagę zdobyć się na swój zły smak S t a r y Testament – tak, to zgoła co innego. Czołem przed Starym Testamentem. Znajduję w nim wielkich ludzi, bohaterski krajobraz i coś najrzadszego na ziemi, nieporównaną naiwność s i l n y c h s e r c; więcej jeszcze, znajduję naród. W nowym natomiast nic prócz małej sekciarskiej gospodarki, nic nad *rococo* duszy, same gmatwaniny, kąciki, cudowności, atmosferę konwentyklów, nie pomijając okolicznościowego tchnienia sielankowej słodkawości, właściwej epoce (i prowincjom rzymskim) i nie tak żydowskiej, jak heleńskiej. Pokora i pyszałkostwo tuż obok siebie; gadulstwo uczucia prawie ogłuszające; wybuchliwość uczucia a nie namiętność; przykra gestykulacja; brakło tu najwidoczniej dobrego wychowania. Jak śmie się o małe swe niecnoty tyle krzyku robić, jak to czynią ci pobożni ludkowie! Pies się o to nie troszczy; cóż dopiero Bóg. W dodatku chcą jeszcze nawet »korony żywota wiecznego«, wszyscy ci maluczcy ludzie z prowincyi Po co? Na co?—nie można dalej zająć w nieskromności. »Nieśmiertelny« Piotr! Czyżby podobna go strawić! Mają oni ambicyę, która śmiech wzbudza: przeżuwa to swoje najosobistsze sprawy, swoje głupstwa, smutki i pokątne troski, jak gdyby »rzecz sama w sobie« zobowiązana była kłopotać się tem; nie nuży się to samego Boga wciągać w najdrobniejsze swe nędze, w których tkwi. I to ustawiczne »na ty« z Bogiem, rzecz najgorszego smaku! To żydowskie, nie tylko żydowskie, natręctwo wobec Boga, z pyskiem i łapami!... Są małe pogardzane »ludy pogańskie« na

wschodzie Azyi, od których ci pierwsi chrześcijanie mogli się byli nauczyć czegoś istotnego, nieco t a k t u w czci; owi nie pozwalają sobie, jak to poświadczają misjonarze chrześcijańscy, wogóle dotykać ustami imienia Boga swego. To wydaje mi się wcale delikatnem; a rzecz pewna za delikatnem nie tylko dla »pierwszych« chrześcijan: by odczuć przeciwieństwo, przypomnijmy sobie przecie Lutra, tego »najwymowniejszego« i najnieskromniejszego chłopca, którego Niemcy wydały i ton lutrowy, najbardziej upodobany przez niego właśnie w jego rozmowach z Bogiem. Opór Lutra przeciw pośredniczącym świętym Kościoła (szczególnie przeciw »świni dyabelskiej papieżowi«) był niewątpliwie w ostatecznej pobudce oporem chama, którego drażniła w y t w o r n a e t y k i e t a Kościoła, owa etykieta czci w smaku hieratycznym, która tylko bardziej wtajemniczonych i milczących wpuszcza w święte świętych, a zamyka je przed chamami. Ci nie mieli tu raz na zawsze nic do gadania, - lecz Luter, chłopca, chciał wszystko nawspak koniecznie, tak jak było, było mu niedość p o n i e m i e c k u: chciał przedewszystkiem mówić wprost, sam mówić, »bez żenady« mówić z swym Bogiem... Tak też uczynił.- Ideał ascetyczny, można się już tego domyślić, nie był nigdy i nigdzie szkołą dobrego smaku, jeszcze mniej dobrych manier - był w najlepszym razie szkołą manier hieratycznych: to znaczy, że tkwi mu samemu pod skórą coś, co jest śmiertelnie wrogiem wszystkim dobrym manierom, brak miary, wstręt do miary, on sam jest wcielonym »non plus ultra«...

23.

Ideał ascetyczny popsuł nietylko zdrowie i dobry smak, popsuł jeszcze coś trzeciego, czwartego, piątego, szóstego - nie będę tak nieostrożny, żebym chciał wyliczać wszystko (kiedyżbym dotarł do końca!). Chcę wydobyć na światło nie to, co ten ideał z d z i a ł a ł; raczej tylko to, co o z n a c z a, na co naprowadza, co kryje się za nim, pod nim, w nim, to, czego jest tymczasowym, niewyraźnym

wyrazem, znakami pytania i nieporozumieniami obarczonym wyrazem. I tylko ze względu na, t e n c e l nie chcę oszczędzić swym czytelnikom rzutu oka na potworność jego skutków, nawet fatalnych skutków: chcę ich bowiem przygotować na ostateczny i najstraszniejszy widok, który tkwi według mnie w badaniu znaczenia tego ideału. Cóż więc oznacza moc tego ideału, p o t w o r n o ś ć jego mocy? Dlaczego pozwolono mu rozrósć się w tym stopniu? Dlaczego nie opierano mu się skuteczniej? Ideał ascetyczny wyraża pewną wolę, gdzież jest wola przeciwnicza, która by wyrażała p r z e c i w n i c z y ideał? Ideał ascetyczny ma c e l – jest dość powszechny, by wszystkie inne interesy ludzkiego istnienia wydały się w porównaniu z nim małosłownymi i ciasnymi: pojmuje on okresy, ludy, ludzi nieubłagane ze stanowiska tego jednego celu, nie dopuszcza żadnego innego pojmowania, żadnego innego celu, odrzuca, zaprzecza, potakuje, potwierdza jedynie w myśl s w o j e j interpretacji (- a czyż istniał kiedy konsekwentniej obmyślany system interpretacji?); nie poddaje się on żadnej mocy, wierzy raczej w swoje pierwszeństwo przed wszelką mocą, w swoją bezwarunkową w y ż s z o ś ć r a n g ą od wszelkiej mocy, – wierzy, że niema na ziemi żadnej mocy, któraby z niego dopiero nie czerpała swego znaczenia, swego prawa do istnienia, swojej wartości, jako narzędzie do j e g o dzieła, jako droga i środek do j e g o celu, jedyne go celu... Gdzie jest p r z e c i w i e ń s t w o tego zwartego systemu woli, celu i interpretacji? Czemu b r a k tego przeciwieństwa...?... Gdzież jest i n n y »cel jedyne«?... Lecz mówią mi, że nie brak tego przeciwieństwa, że wiodło ono nie tylko długą, szczęśliwą walkę z owym ideałem, że owszem we wszystkich głównych sprawach opanowało ów ideał: cała nasza w i e d z a nowoczesna jest tego świadectwem, – ta wiedza nowoczesna, która, jako właściwa filozofia rzeczywistości, jawnie wierzy tylko w siebie samą, jawnie posiada odwagę i wolę być sobą i dość dobrze dotąd radziła sobie bez Boga, zaświata i cnót zaprzecznych. Tymczasem

taką wrzawą i agitatorską gadaniną nic się u mnie nie wskóra: ci trębacze rzeczywiście są lichymi muzykantami, słyhać, że głosy ich nie wychodzą z głębi, że nie przemawia z nich bezdeń naukowego sumienia – bo dziś sumienie naukowe jest bezdnią -, stówo »wiedza« jest w tych pyskach trębackich jedynie nierządem, nadużyciem, bezwstydem. Właśnie przeciwieństwo tego, co twierdzą, jest prawdą: wiedza z konieczności nie ma dziś wiary w siebie, nie mówiąc już o ideale ponad sobą – a gdzie wogóle jest jeszcze namiętnością, miłością, żarem, cierpieniem, tam nie jest przeciwieństwem owego ideału ascetycznego, raczej jego najmłodszą i najdotychczasową formą. Brzmi wam to dziwnie?... Zapewne jest i pośród dzisiejszych uczonych dość prawych i skromnych robotników, którym podoba się ich mały kącik i którzy dla tego, że im się w nim podoba, wygłaszają czasem cokolwiek nieprzyzwoite żądanie: że w inno się dziś wogóle być zadowolonym, zwłaszcza z nauki, tyleż bo w niej działać można pożytecznego. Nie przeczę; najmniej mam ochoty psuć tym uczciwym robotnikom uciechę z ich rzemiosła, bo lubię ja tę ich robotę. Lecz to, że pracuje się dziś w nauce surowo i że istnieją zadowoleni robotnicy, nie dowodzi jeszcze koniecznie, żeby nauka jako całość miała dziś cel, wolę, ideał, namiętność wielkiej wiary. Jak się rzekło, rzecz ma się przeciwnie: gdzie nie jest najnowszą formą pojawiania się ideału ascetycznego – chodzi tu o zbyt rzadkie, dostojne, wyszukane wypadki, ażeby mogły wpłynąć na zmianę ogólnego sądu -, jest dziś wiedza schyłkowa dla wszelkiego rodzaju zniechęcenia, niewiary, podjadków toczących, *despectio sui*, nieczystego sumienia, – jest niepokojem braku samego ideału, cierpieniem z powodu braku wielkiej miłości, niezadowoleniem z powodu niedobrowolnego przestawiania na małym. Och, czegoż nie kryje dziś pod swym płaszczem wiedza! Ileż przynajmniej w inno ukrywać! Dzielność naszych najlepszych uczonych, ich pilność bez opamiętania, ich dniem i nocą dymiące głowy, samo ich

mistrzostwo rzemieślnicze - jakże często właściwym tego wszystkiego sensem jest, by czegoś nie widzieć! Nauka jako środek samoogłuszenia: z n a c i e t o!... Rani się ich - doświadcza tego każdy, kto obcuje z uczonymi - czasem jednym niewinnym słowem aż do kości, napawa się swoich uczonych przyjaciół goryczą przeciw sobie w chwili, gdy się sądzi, że się im cześć oddaje; wyprowadza się ich z równowagi dlatego jedynie, że się było za grubiańskim, by odgadnąć, z kim się właściwie ma do czynienia, że to c i e r p i ą c y, którzy sami przyznać się nie chcą do tego, czem są, ogłuszeni i nieprzytomni, którzy jednego tylko się boją: p o w r o t u d o ś w i a d o m o ś c i...

24.

- Teraz zaś przypatrzmy się owym rzadszym wypadkom, o których mówiłem, ostatnim idealistom, którzy istnieją dziś wśród filozofów i uczonych: sąż to może szukani przeciwnicy ideału ascetycznego, i d e a l i ś c i w k i e r u n k u j e m u p r z e c i w n y m? W rzeczy samej, w i e r z ą, że są nimi, ci »niewierzący« (bo tem są wszyscy bez wyjątku); to właśnie, że są przeciwnikami tego ideału, zdaje się być ostatkiem ich wiary, tak poważni są na tym punkcie, tak namiętnem w tym właśnie wypadku ich słowo, ich gest: - czyż dlatego już ma to być prawdą, w co wierzą?... My »poznający« jesteśmy właśnie nieufni względem wszelkiego rodzaju wierzących; nieufność nasza nauczyła nas stopniowo wnioskować przeciwnie, niż wnioskowano dawniej: mianowicie wszędzie, gdzie siła wiary bardzo na pierwszy plan występuje, wnioskować o pewnej słabej możliwości dowodu, nawet o n i e p r a w d o p o d o b i e ń s t w i e rzeczy, w którą się wierzy. I my nie przeczyamy, że wiara »uszcześliwia«: w ł a ś n i e d l a t e g o przeczyamy, że wiara d o w o d z i, - silna wiara, która uszcześliwia, wznieca podejrzenie przeciw temu, w co wierzy, potwierdza nie »prawdę«, potwierdza pewne prawdopodobieństwo - złudy. Jakże się ma rzecz w tym wypadku? - Ci dzisiejsi przeczyciele, ci stroniący od

dnia dzisiejszego, ci bezwzględni na jednym punkcie, w pretensji do intelektualnej czystości, te twarde, surowe, wstrzemięźliwe, bohaterskie duchy, które są zaszczytem naszego czasu, wszyscy ci bladzi ateści, antychryści, bezmoralisci, nihiliści, ci sceptycy, ephektycy, h e k t y c y duchowi (ostatnimi są wszyscy razem i każdy z osobna w jakimś znaczeniu), ci ostatni idealisci w poznaniu, w których jedynie mieszka dziś i w których wcieliło się sumienie intelektualne, - uważają się rzeczywiście za wyzwolonych w najwyższym stopniu od ideału ascetycznego, te »wolne, b a r d z o wolne duchy«: a jednak pragnę zdradzić przed nimi, czego sami widzieć nie mogą, bo stoją zbyt blisko siebie: ten ideał jest właśnie i i c h ideałem, oni sami są dziś przedstawicielami jego i może nikt więcej, oni sami są jego najbardziej przeduchowionymi wyrodkami, jego najbardziej wysuniętym szeregiem wojennym i wywiadowczym podjazdem, jego najpodchwytliwszą, najdelikatniejszą, najnieuchwytniejszą formą uwodzenia: - jeśli w czemkolwiek jestem odgadywaczem, chcę nim być w t e m zdaniu!... Daleko im jeszcze do w o l n y c h duchów, bo w i e r z ą j e s z c z e w p r a w d ę... Kiedy chrześcijańscy krzyżowcy zetknęli się na Wschodzie z owym niezwyciężonym zakonem Assassynów, owym zakonem duchów wolnych *par excellence*, gdzie najniżej stojący stopniem żyli w posłuszeństwie, jakiemu podobnego nie osiągnął żaden zakon mniszy, wtedy zdobyli jakimś sposobem wskazówkę, dotyczącą owego symbolu i godła, zastrzeżonego tylko dla najwyżej stopniem stojących, jako ich *secretum*: »Nic nie jest prawdą, wszystko wolno«... Otóż to była w o l n o ś ć ducha, t e m w y m ó w i o n o wiarę nawet prawdzie... Czy jaki europejski, chrześcijański duch wolny zabłąkał się już kiedy do labiryntu tego zdania i jego labiryntowych k o n s e k w e n c y i? Czy zna z d o ś w i a d c z e n i a minotaura tej jaskini?... Wątpię o tem, co więcej, wiem coś innego: - nic nie jest bardziej obce tym bezwzględnym w jednym, tym t a k z w

a n y m »duchom wolnym«, niż właśnie wolność i zerwanie pęt w owym znaczeniu, pod żadnym względem nie są właśnie bardziej spętani: właśnie w wierze w prawdę są, jak nikt inny, silni i bezwzględni. Znane mi to wszystko może nazbyt zbliżka: owa szacunku godna wstrzeźliwość filozofów, do której zobowiązują e taka wiara, ów stoicyzm umysłowy, który ostatecznie równie surowo zabrania sobie zaprzeczania, jak potwierdzania, owa c h ę ć zatrzymywania się przed tem co faktyczne, przed *factum brutum*, ów fatalizm «*des petits faits*» (*ce petit faitalisme*, jak go nazywam), w czym nauka francuska szuka dziś pierwszeństwa moralnego przed niemiecką, owo zrzeczenie się interpretacyi wogóle (gwałcenia, przykrawania, skracania, opuszczania, wypychania, wymyślenia, przekręcania i wszystkiego wogóle co do i s t o t y interpretowania należy) - wszystko to wyraża, ogółem biorąc, równie dobrze ascetyzm cnoty, jak jakieś zaprzeczenie zmysłowości (jest to w gruncie tylko *modus* tego zaprzeczenia). Co jednak do niego zmusza, co jest ową bezwzględną wolą prawdy, to w i a r a w s a m i d e a ł a s c e t y c z n y, choćby jako jej nieświadomy imperatyw, nie należy się ludzić co do tego, - to wiara w m e t a f i z y c z n ą wartość, w wartość samą w s o b i e p r a w d y, tak jak jedynie w ideale owym jest poręczona i zapieczętowana (trwa ona i przemija z owym ideałem). Surowo sądząc, niema żadnej nauki bez *a priori*. Myśli o takiej nauce nie można wymyślić, jest ona paralogiczna: zawsze wpierw istnieć musi filozofia, »wiara«, by wiedza mogła z niej wyciągnąć kierunek, sens, granicę, metodę, p r a w o do istnienia. (Kto to rozumie odwrotnie, kto naprzykład zamierza oprzeć filozofię na »podstawach czysto naukowych«, ten musi wpierw nie tylko filozofię, lecz i prawdę p r z e w r ó c i ć d o g ó r y n o g a m i; najgorsza to obraza przyzwoitości, jaka spotkać może dwie tak czcigodne niewiasty!) Tak, nie ulega wątpliwości - i tu dopuszczam do głosu swoją »Wiedzę radosną«, por. jej piątą księgę str. 275 i nast. -

»ów prawdziwy, w owym zuchwałym i ostatecznym znaczeniu, jak go pojmuje wiara w naukę, p o t w i e r d z a w t e n s p o s ó b ś w i a t i n n y, nie zaś świat życia, przyrody i dziejów; a jeżeli ów »inny świat« potwierdza, jak to? czyż nie musi właśnie tem samym zaprzeczać jego przeciwieństwa, tego świata, naszego świata?... To, na czym nasza wiara w naukę spoczywa, to wciąż jeszcze w i a r a m e t a f i z y c z n a, - i my dzisiejsi poznający, my bezbożni, my antymetafizycy, i my także s w ó j ogień jeszcze czerpiemy z owego pożaru, który wzniciła tysiące lat licząca wiara, owa wiara chrześcijańska, która była też wiarą Platona, że Bóg jest prawdą, że prawda jest b o s k a... Lecz cóż, jeśli to właśnie coraz mniej wiarogodnym się staje, jeśli nic już nie okazuje się boskiem, chyba pomyłka, ślepotą, kłamstwem, jeśli Bóg sam okazuje się naszym n a j d ł u ż e j t r w a j ą c e m k ł a m s t w e m?« - W tem miejscu trzeba stanąć i namyślać się długo. Nauka sama p o t r z e b u j e teraz usprawiedliwienia (nie znaczy to wcale, że ono dla niej istnieje). Zajrzyjmy, ze względu na to pytanie, do najstarszych i najmłodszych filozofów: im wszystkim brak świadomości, że wola prawdy sama dopiero usprawiedliwienia wymaga, na tym punkcie istnieje luka w każdej filozofii - skąd to pochodzi? Bo ideał ascetyczny p a n o w a ł dotąd nad całą filozofią, bo przyjmowano prawdę jako byt, jako Boga, jako najwyższą nawet instancję, bo nie ś m i a n o uczynić prawdy problemem. Czy rozumiecie to »nie śmiano«? - Od chwili gdy zaprzeczona została wiara w Boga ideału ascetycznego, i s t n i e j e t e ż n o w y p r o b l e m a t: o w a r t o ś c i p r a w d y.- Wola prawdy wymaga krytyki - określmy zatem swoje własne zadanie -, trzeba wartość prawdy raz na próbę p o d a ć w w ą t p l i w o ś ć... (Komu to zdaje się za krótko powiedziane, temu polecam przeczytać na nowo ów ustęp »Wiedzy radosnej«, który nosi nagłówek: »O ile i my jeszcze bogobojni jesteśmy« str. 289 i nast., najlepiej całą piątą księgę wymienionego dzieła, tak samo przedmowę do »Jutrzenki«).

25.

Nie! Niech mi nikt nie przychodzi z wiedzą, gdy szukam naturalnego antagonisty ideału ascetycznego, gdy pytam: gdzie jest przeciwnicza wola, w której wyraża się jej p r z e c i w n i c z y i d e a ł?«: Na to opiera się wiedza nazbyt mało na sobie samej, potrzebuje w każdym względzie dopiero jakiegoś ideału Wartości, jakiejs stwarzającej wartości mocy, w którejby s ł u ż b i e d o p i e r o ś m i a ł a w i e r z y ć w siebie samą, – ona sama nigdy nie stwarza wartości. Jej stosunek do ideału ascetycznego nie jest w sobie samym wcale jeszcze antagonistyczny; przedstawia ona głównie nawet popędzającą raczej siłę w jej wewnętrznym ukształtowaniu. Jej sprzeczność i walka, badając przenikliwiej, nie odnosi się wcale do ideału samego, lecz tylko do jego zewnętrżności, przybrania, maski, do jego czasowego stwardnienia, zdrewnienia, zdogmatyzowania, – budzi ona w nim nanowo życie, zaprzeczając tego, co w nim egzoteryczne. Jedno i drugie, nauka i ideał ascetyczny, stoją przecie na jednym gruncie – dałem to już do poznania -: to jest na jednakim przecenieniu prawdy (właściwiej: na jednakiej wierze, że prawda nie da się oceniać, ani krytykować). Właśnie przez to są sobie z k o n i e c z n o ś c i sprzymierzeńcami, tak, że jeśli są zwalczane, mogą też być tylko wspólnie zwalczane i podawane w wątpliwość. Szacowanie ideału ascetycznego pociąga za sobą niechybnie i szacowanie wartości nauki: na to zawczasu przetrzyjcie oczy, zaostrzcie słuch! (S z t u k a, mówiąc nawiasem, bo kiedyś wrócę do tego na dłużej, – sztuka, w której właśnie k ł a m s t w o się uświęca, a w o ł a z ł u d y ma czyste sumienie u boku, jest bardziej zasadniczo, niż nauka, przeciwstawna ideałowi ascetycznemu: tak odczuwał to instynkt Platona, tego największego wroga sztuki, jakiego dotąd Europa wydala. Plato p r z e c i w Homerowi: oto cały, szczery antagonizm – tam »zaświatowiec« najlepszej woli, wielki potwarca życia, tu tego życia poniewolny bóstwiciel, natura z ł o t a. Usłużność artysty

w służbie ideału ascetycznego jest przeto najwłaściwszem z e p s u c i e m artystycznym, jakie tylko być może, niestety i jednym z najpowszedniejszych: bo niema nic bardziej ulegającego zepsuciu nad artystę.) I z fizyologicznego punktu widzenia, stoi nauka na tym samym gruncie, co ideał ascetyczny: pewne z u b o ż e n i e życia jest tu, jak tam, założeniem, - ochłodzone uczucia, zwolnione *tempo*, dyalektyka zamiast instynktu, p o w a g ą nacechowane twarze i gesty (powagą, tą najniewątpliwszą oznaką mozolniejszej przemiany materii, zmagającego się, ciężiej pracującego życia). Przypatrzmy się okresom któregoś narodu, w których na pierwszy plan wysuwa się uczone: są to okresy znużenia, często zmierzchu, upadku, - przelewna siła, pewność życia, pewność p r z y s z ł o ś c i znikły. Przewaga mandaryna nie oznacza nigdy nic dobrego, równie jak wynurzenie się demokracji, rozjemczych sądów pokoju zamiast wojen, równouprawnienia kobiet, religii litości i wszystkich innych zresztą oznak opadającego życia. (Nauka jako problemat; co oznacza? - por. o tem przedmowę do »Narodzin Tragedyi«). - Nie! ta nauka nowoczesna - otwórzcie tylko na nią oczy - jest tymczasem n a j l e p s z ą sprzymierzeńczynią ideału ascetycznego, i właśnie dlatego, że jest najmniej świadomą, najmniej dobrowolną, najtajemniejszą i najpodziemniejszą! W jedną grę grali dotąd »ubodzy duchem« i naukowci przeciwnicy owego ideału (mówiąc nawiasem, strzeżmy się myśleć, że są jego przeciwieństwem, niejako jak b o g a c i duchem: - n i e są niem, nazwałem ich hektykami duchowymi). Te sławne z w y c i ę s t w a tych ostatnich: niewątpliwie, są to zwycięstwa - lecz nad czem? Nie pokonały one wcale ideału ascetycznego, stał się on raczej mocniejszy, to jest nieuchwytniejszy, bardziej duchowy, bardziej podchwytliwy przez to, że zawsze jakiś mur, jakiś szaniec, przybudowany doń i w z g r u b i a j ą c y jego wygląd, padał bez miłosierdzia, odwalony ciosem nauki. Czy rzeczywiście sądzicie, jakoby klęska astronomii teologicznej

oznaczała klęskę owego ideału?... Czy człowiek m n i e j p o t r z e b u j e zaświatowego rozwiązania swej zagadki istnienia przez to, że to istnienie od tego czasu wydaje się jeszcze dowolniejsze, pokątniejsze, zbędniejsze w w i d o c z n y m porządku rzeczy? Czyż właśnie samozmniejszanie się człowieka, jego c h ę ć samozmniejszenia nie postępuje naprzód niepowstrzymanie od Kopernika? Ach, wiara w jego godność, w to, że jest jedyny, niezastąpiony w hierarchii istot, znikła, - człowiek stał się z w i e r z ę c i e m, zwierzęciem, bez porównania, wyłączenia i zastrzeżenia, on, który w dawniejszej swej wierze był nieledwo bogiem («dziecię boże», «Bóg człowiek»)... Od czasu Kopernika dostał się człowiek, zda się, na równię pochyłą, - stacza się odtąd coraz szybciej od punktu środkowego - dokąd? w nicość? w »p r z e w i e r c a j ą c e uczucie swej nicości«?... Hejże! Taby była właśnie prosta droga - do s t a r e g o ideału?... W s z e l k a nauka (a wcale nie astronomia tylko, o której upokarzającym i zniżającym działaniu uczynił Kant zaznaczenia godne wyznanie, »niszczy ona mą ważność«...), wszelka nauka, tak naturalna, jak n i e n a t u r a l n a - tak nazywam samokrytykę poznania -, dąży dziś do wybicia człowiekowi z głowy jego dotychczasowego szacunku dla siebie, jak gdyby szacunek ten nie był niczem, jeno dziwną zarozumiałością; możnaby nawet rzec, że zasada ona własną swą dumę, własną cierpką formę stoickiej ataraksyi na podtrzymaniu tej mozolnie zdobytej człowieczej s a m o p o g a r d y, jako ostatecznego i najpoważniejszego prawa jego do szacunku w własnych oczach (w samej rzeczy słusznie: bo pogardzający jest zawsze jeszcze kimś, który »nie zapomniał czcić«...). Czy przez to p r z e c i w d z i a ł a s i ę właściwie ideałowi ascetycznemu? Czy sądzi się jeszcze naprawdę z całą powagą (jak to długi czas wyobrażali sobie teologowie), że zwycięstwo, odniesione przez Kanta nad teologiczną dogmatyką pojęć («bóg», »dusza«, »wolność«, »nieśmiertelność«), sprawiło uszczerbek owemu ideałowi? (przyczem niech nas na razie nic nie

obchodzi, czy Kant sam coś podobnego choćby tylko miał na widoku). To pewna, że wszyscy transcendentaliści od czasu Kanta mają przed sobą znowu grę wygraną, – wyzwoleni zostali z pod władzy teologów: co za szczęście! – wskazał im on ową dróżkę chyłkową, po której mogą odtąd na własną rękę i z największą naukową przyzwoitością iść za pragnieniem swych serc«. Tak samo: któżby mógł odtąd mieć za złe agnostykom, jeśli; jako czciciele nieznanego i tajemniczego w sobie, sam znak z a p y t a n i a wielbią, jako boga? (Ksawery Doudan wspomina *les ravages*, które sprawiła *l'habitude d'admirer l'inintelligible au, lieu de rester tout simplement dans l'inconnu*; sądzi on, że starzy obchodzili się bez tego). Przypuściwszy, że wszystko, co człowiek »poznaje«, nie zadowala jego pragnień, raczej sprzeczne jest z nimi i przejmuje grozą: co za boski wybieg móc szukać winy tego nie w »pragnieniach«, lecz w »poznaniu«L. Niema żadnego poznania, p r z e t o jest Bóg«: co za nowa *elegantia syllogismi!* co za tryumf ideału ascetycznego!«

26.

- Lub czyż może całe dziejopisarstwo nowoczesne okazuje pewniejszą życia, pewniejszą ideału postawę? Jego najdostojniejszą pretensją jest teraz: b y ć z w i e r c i a d ł e m; odrzuca ono wszelką teleologię; nie chce już wcale »dowodzić«; gardzi odgrywaniem roli sędziego, i na tem polega jego dobry smak, – potwierdza równie mało, jak zaprzecza, ustala, »opisuje«... Wszystko to jest w wysokim stopniu ascetyczne; lecz jest równocześnie w jeszcze wyższym stopniu n i h i l i s t y c z n e, co do tego nie należy się mylić! Jest to smutne, twarde, lecz zdecydowane spojrzenie, – oko, które w y z i e r a, jak wyziera osamotniały podróżnik po podbiegunowej północy (może, aby nie wzierać, wstecz nie pozierać?...). Tu śnieg leży, tu życie oniemiało, ostatnie wrony, które tu kraczą, zwą się »po co?«, »daremnie!« »nada!« – tu nic już nie wschodzi i nie rośnie, najwyżej metapolityka petersburska i »litość« tołstojowska. Co się jednak

tyczy owego innego rodzaju historyków, rodzaju może jeszcze »nowocześniejszego«, rodzaju używającego, lubieżnego, zarówno z życiem jak z ascetycznym ideałem oczekującego, który słowa »artysta« jak rękawiczek używa i chwałę kontemplacji wziął dziś zupełnie dla siebie w arendę: och, jakąż ci słodcy sprytnisie wzbudzają tęsknotę nawet choćby za ascetami i krajobrazem zimowym! Nie! niech dyabli biorą ten ludek »ogładczy«. O ileż chętniej wolę już z owymi historycznymi nihilistami wędrować w najposępniejszych, szarych, zimnych mgłach! ba, gdybym wybierać musiał, nie zależałoby mi nic na tem, by dać posłuch umysłowi nawet niehistorycznemu, przeciwhistorycznemu (jak owemu Duhringowi, którego dźwiękami oszalała się w dzisiejszych Niemczech pewna dotąd jeszcze nieśmiała, jeszcze nie chcąca się przyznać *species* »pięknych duchów«, *species anarchistica* wśród wykształconego proletaryatu). Stokroć gorsi są owi »ogładcze«; nie znam nic wstrętniejszego nad taki »objektywny« fotel, nad takiego woniejącego gagatka, rozkoszującego się teatrem historyi, pół klechę, pół satyra, uperfumowanego Renanem, zdradzającego już wysokim falsetem swego uznania, czego mu nie dostaje, g d z i e mu nie dostaje, g d z i e w tym wypadku okrutne nożyce Parki ach! nazbyt chirurgicznie były w robocie! To drażni mój smak, a także mą cierpliwość: niech wobec takich widoków zachowuje swą cierpliwość, kto nie ma z niej nic do stracenia, - mnie oburza taki widok, tacy »wizowicie« rozgoryczają mnie przeciw widowisku więcej jeszcze niż widowisko (sama historia, rozumiecie mnie), nieprzewidzianie nachodzimnie przytem anakreoński humor. Natura, która bykowi dała róg, lwu....., pocóż mnie dała natura nogę?... Do stąpania, na świętego Anakreonta! a nie tylko do uciekania; do zdeptania spróchniałych stolców tchórzliwego oglądania, lubieżnego eunuchostwa wobec historyi, oczkowania z ideałem ascetycznym, sprawiedliwego świętoszkostwa impotencyi! Jestem z całą czcią dla

ideału ascetycznego, o i l e o n j e s t u c z c i w y! jak długo wierzy sam w siebie i nie błaznuje! Ale nie mogę znieść wszystkich tych kokietujących pluskiew, których ambicya zasadza się na wywąchiwaniu nieskończoności, aż wkońcu i nieskończoność pluskwami śmierdzi; nie mogę znieść tych pobielanych grobów, które odgrywają rolę życia; nie mogę znieść tych znużonych i zużytych, którzy owijają się w mądrość i spoglądają obiektywnie; nie mogę znieść tych na bohaterów wystrojonych agitatorów, którzy noszą czapkę niewidkę na słomianym wiechciu swej głowy; nie znoszę ambitnych artystów, którzyby chcieli uchodzić za ascetów i kapłanów, a w gruncie są tylko tragicznymi błaznami; nie znoszę i owych najnowszych spekulantów na polu idealizmu, antysemitów, którzy przewracają dziś, oczy chrześcijańsko-aryjsko-dobrodusznym sposobem i wyczerpującem wszelką cierpliwość nadużywaniem najtańszego środka agitacji, posturą moralną, starają się wzburzyć wszystkie pierwiastki bydlęce tłumy (- że żadnemu rodzajowi duchowego oszustwa nie zbywa w dzisiejszych Niemczech na powodzeniu, jest to właśnie w związku z niedającym się zaprzeczyć i prawie dotykalnem z j a ł o w i e n i e m niemieckiego ducha, którego przyczyny szukam w nazbyt wyłącznem żywieniu się dziennikami, polityką, piwem i muzyką wagnerowską, wraz z tem, co stanowi założenie dla tej diety: po pierwsze z narodowem zacieśnieniem i próżnością, silną lecz ciasną zasadą »Niemcy, Niemcy ponad wszystko«, następnie zaś paralysis *agitans* »idei nowoczesnych«). Europa jest dziś bogata i wynalazcza przedewszystkiem na polu środków podniecających, zdaje się niczego więcej nie potrzebować nad *stimulantia* i gorące trunki: stąd też olbrzymie fałszowanie ideałów, tych najgorętszych trunków ducha, stąd też wstrętne, cuchnąca, kłamliwa, pseudoalkoholiczna wszędzie atmosfera. Radbym wiedzieć, wiele okrętowych ładunków podrobionego idealizmu, bohaterskich kostyumów i szczękających

blach stów wielkich, wiele ton ocukrzanej wyskokowej litości (firma: *la religion de la souffrance*), ile szcudeł »szlachetnego oburzenia« dla wspomogi duchowych płaskonogów, ile k o m e d y a n t ó w chrześcijańsko-moralnego ideału należałoby wywieźć dziś z Europy, aby powietrze znów czyściej woniało... Jest to zupełnie oczywiste, że dla tej nadwytwórczości stanęła otworem nowa droga h a n d l o w a, i że oczywiście można zrobić nowy »interes« na tych bożkach ideału i należących do nich »idealistach« - nie przeoczcie tej wytyczni! Któż ma dość do tego odwagi? - w naszym ręku leży możliwość »zidealizowania« całej ziemi!... Lecz cóż mówić o odwadze: tu trzeba tylko jednego, właśnie ręki, nie krępującej się, zgoła nie krępującej się ręki...

27.

- Dość! Dość! Porzucmy te dziwaczności i złożoności najnowocześniejszego ducha, wzbudzające zarówno śmiech, jak płacz: właśnie nasz problemat może się obyć bez nich, problemat znaczenia ideału ascetycznego, - cóż tu znaczy wczoraj i dzisiaj! Sprawami temi zajmę się w związku z czym innym gruntowniej i dosadniej (pod nagłówkiem: »Z dziejów europejskiego nihilizmu«; odsyłam w tym względzie do dzieła, które przygotowuję: WOLA MOCY. P r ó b a p r z e m i a n y w s z y s t k i c h w a r t o ś c i). Chodzi mi tutaj tylko o zaznaczenie jednego: ideał ascetyczny ma także w najbardziej duchowej sferze tymczasem ciągle jeszcze tylko jeden rodzaj rzeczywistych wrogów i s z k o d z i c i e l i: są to komedyanci tego ideału, - bo budzą nieufność. Wszędzie zresztą, gdzie dziś duch surowo, silnie i nie fałszując monet pracuje, obywa się wszędzie bez ideału - popularnym wyrazem na tę wstrzeźliwość jest »ateizm«-: z w y j ą t k i e m j e g o w o l i p r a w d y. Ta wola jednak, ta reszta ideału, jest, jeśli mi uwierzycie, samym owym ideałem, w jego najściślejszym, najbardziej duchowem sformułowaniu, na wskroś ezoterycznym, obranym z wszelkich

zewnątrznych dodatków, a więc nie tak jego resztą, jak jego jądrem. Bezwzględny uczciwy ateizm (j e g o t o p o w i e t r z e m j e d y n i e o d d y c h a m y, m y b a r d z i e j d u c h o w i l u d z i e t e g o s t u l e c i a!) n i e s t o i s t o s o w n i e d o t e g o w s p r z e c z n o ś c i z o w y m i d e a ł e m, j a k t o s i ę p o z o r n i e w y d a j e; j e s t o n r a c z e j j e d n ą z j e g o o s t a t n i c h f a z r o z w o j o w y c h, j e d n ą z j e g o o s t a t n i c h f o r m w n i o s k u i w n ę t r z n y c h k o n s e k w e n c y i, - j e s t o n n a k a z u j ą c ą c z e ś ć k a t a s t r o f ą d w u t y s i ą c y l e t n i e g o z a p r a w i a n i a s i ę d o p r a w d y, k t օ r ą z a b r a n i a s o b i e w k o ń c u k ł a m s t w a w i a r y w B o g a. (T e n s a m p o c h օ d r o z w o j o w y w I n d y a c h, z u p e ł n i e n i e z a l e Ź n y i d l a t e g o m o g ą c y s ł u Ź y ć z a d o w օ d; t e n s a m i d e a ł d o p o d o b n e g o w i o d ą c y w n i o s k u; d e c y d u j ą c y p u n k t n a p i ę ć w i e k օ w p r z e d e r ą e u r o p e j s k ą, z B u d d ą, d o k ł ą d n i e j, j u Ź z f i l o z o f i ą *Sankhyam*, k t օ r ą p o t e m B u d d a s p o p u l a r y z o w a ł i u c z y n i ł r e l i g i ą.) C o, b a d a j ą c ś c i ś l e, o d n i o s ł o w ł ą s c i w i e z w y c i ę s t w o n a d B o g i e m c h r z e ś c i j a ń s k i m? O d p o w i e d ź j e s t w m o j e j »W i e d z y r a d o s n e j« s t r. 3 0 2: »s a m a m o r a l n o ś ć c h r z e ś c i j a ń s k a, c o r a z s u r o w i e j b r a n e p o j ę c i e p r a w d z i w o ś c i, s p o w i e d n i c z a d r o b i a z g o w o ś ć s u m i e n i a c h r z e ś c i j a ń s k i e g o, p r z e m i e n i o n a i w y n i e s i o n a d o g o d n o ś c i s u m i e n i a n a u k o w e g o, d o c z y s t o ś c i i n t e l e k t u a l n e j z a w s z e l k ą c e n ę. P a t r z e n i e n a n a t u r ę, j a k g d y b y b y ł a d o w o d e m d o b r o c i i o p i e k i j a k i e g o ś b o g a; t ł u m a c z e n i e d z i e j օ w k u c z c i r o z u m u b o s k i e g o, j a k o u s t a w i c z n e ś w i a d e c t w o m o r a l n e g o p o r z ą d k u ś w i a t a i m o r a l n y c h c e l օ w o s t a t e c z n y c h; w y k ł ą d a n i e w ł a s n y c h w y d a r z e ń p r z e Ź y t y c h, j a k g d y b y w s z y s t k o b y ł o z r z ą d z e n i e m, w s z y s t k o z n a k i e m, w s z y s t k o k u z b a w i e n i u d u s z y w y m y ś l o n e m i z e s ł a n e m: t o j u Ź t e r a z« m i n ę ł o, t o m a s u m i e n i e p r z e c i w s o b i e, t o w y d a j e s i ę k ą Ź d e m u w y t w o m i e j s z e m u s u m i e n i u n i e p r z y z w o i t օ ś c i ą n i e u c z c i w o ś c i ą, ł g a r s t w e m, z n i e w i e ś c i ą ł o ś c i ą s ł a b o ś c i ą t c h օ r z o s t w e m, - j e ś l i p r z e z c o, t o d z i ę k i t e j s u r o w o ś c i j e s t e ś m y w ł ą s n i e d o b r y m i E u r o p e j c z y k a m i i s p a d k o b i e r c a m i n a j d ł u Ź s z e g o i n a j d z i e l n i e j s z e g o s a m o p r z e z w y c i ę z e n i a E u r o p y«... W s z y s t k i e w i e l k i e r z e c z y n i s z c z e j ą

same sobą, przez akt unicestwienia samych siebie. Tak chce prawo życia, prawo k o n i e c z n e g o samoprzewyciężenia się w istocie życia, - zawsze zwraca się wkońcu do samego prawodawcy wołanie: *patere legem, quam ipse tulisti*; w ten sposób niszczało chrześcijaństwo j a k o d o g m a t własną swą moralnością; w ten sposób musi teraz chrześcijaństwo zniszczyć też j a k o m o r a l n o ś ć, - stoimy u progu t e g o wydarzenia. Kiedy chrześcijańskie dążenie do prawdy wyciągnie już jeden wniosek po drugim, wyciągnie wkońcu swój n a j p o t ę ż n i e j s z y wniosek, wniosek p r z e c i w k o sobie samemu. To jednak stanie się, gdy postawi pytanie: »c o z n a c z y w s z e l k a w o l a p r a w d y?«... I tu schodzę się znowu z swoim problematem, z naszym problematem, n i e z n a n i przyjaciele moi (-bo jeszcze n i e w i e m o żadnym przyjacielu): jakizby sens miało całe n a s z e istnienie, jeśli nie ten, aby ta wola prawdy uświadomiła się w nas sobie samej j a k o p r o b l e m a t?... Tem uświadomieniem się sobie woli prawdy n i s z c z e j e - tu niema wątpliwości - moralność: owo wielkie widowisko w stu aktach, które pozostaje w spadku dwom najbliż -

szym stuleciom Europy, najstraszliwsze, najgodniejsze pytania, a może i najbogatsze w nadzieje z wszystkich widowisk...

28.

Jeśli nie brać pod uwagę ideału ascetycznego, to człowiek, z w i e r z ę człowiek nie miał dotąd żadnego sensu. Jego istnienie ziemskie nie miało żadnego celu: »po co wogóle człowiek?« - było pytaniem bez odpowiedzi; człowiekowi i ziemi brakło w o l i; poza każdym wielkim losem człowieczym brzmiało jako refren jeszcze większe »napróžno!« Ideał ascetyczny znaczy właśnie to: że czegoś b r a k ł o, że olbrzymia l u k a otaczała człowieka,- nie umiał on samego siebie usprawiedliwić, wyjaśnić, potwierdzić, c i e r p i a ł z powodu problemu swojego istnienia. I cierpiał napróžno, był na ogół zwierzęciem c h o r o w i t e m; lecz n i e cierpienie samo było jego

problematem, tylko to, że brakło odpowiedzi na okrzyk pytający: »p o c o cierpieć?« Człowiek, to dzielne i najbardziej do cierpienia przywykłe zwierzę, n i e zaprzecza cierpienia w sobie; on go c h c e, szuka go sam, ale pod warunkiem, że mu się wskaże s e n s tego, jakiś c e l cierpienia. Przekleństwem, ciężącym dotąd nad ludzkością, była bezsensowność cierpienia, nie cierpienie, - a i d e a ł a s c e t y c z n y n a d a ł m u s e n s! Był to jedyny sens dotąd; jakikolwiek sens jest zawsze lepszy, niż żaden; ideał ascetyczny był pod każdym względem tem »f a u t e d e m i e u x«, *par excellence*, jakie dotąd istniało. Objaśnił on cierpienie; olbrzymia próżnia zapełniła się; zamknęły się drzwi przed wszelkim samobójczym nihilizmem. Objasnienie - niema wątpliwości - przyniosło z sobą nowe cierpienie, głębsze, wewnątrzniejsze, jadowitsze, bardziej wżerające się w życie; postawiło cierpienie w perspektywie w i n y... Lecz mimo wszystko - człowiek został tem uratowany, miał sens, przestał być nadal liściem na wicherze, piłką niedorzeczną, »bezsensowną«; mógł odtąd czegoś c h c i e ć, - obojętne na razie, dokąd chciał, po co, czem: w o l a s a m a z o s t a ł a u r a t o w a n a. Nie można przed sobą w żaden sposób ukryć, co właściwie wyrażało całe owo chcenie, które otrzymało kierunek swój od ideału ascetycznego: ta nienawiść przeciw temu, co człowiecze, gorzej jeszcze, przeciw temu, co zwierzęce, gorzej jeszcze, przeciw temu, co materialne, ten wstręt do zmysłów, do samego rozumu, ten strach przed szczęściem i pięknnością, to pożądanie ucieczki przed pozorem, zmianą, stawaniem się, śmiercią, życzeniem, pożądaniem samem - wszystko to oznacza, ważmy się pojąć to, w o l ę n i c o ś c i, niechęć do życia, bunt przeciw najbardziej zasadniczym warunkom życia, lecz jest to i pozostanie zawsze wolą!... Żeby zaś jeszcze na końcu rzec, co rzekłem na początku: człowiek woli raczej jeszcze chcieć n i c o ś c i, niż n i e chcieć...